Nr. 22. Poznań, dnia 2 Czerwca 1907 r. Rok XI.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 35. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

(Przedruk wzbroniony).

O kulturalnych celach „Straży."

II.

Upadli na duchu, jesteśmy bezsilni wobec materyalnych potęg pruskiego rządu. Zapatrzeni w jego siłę materyalną, straciliśmy poczucie własnego posłannictwa kulturalnego. To posłannictwo wysnuło się z ducha, nie z materyi, dla tego im dłużej siła państwa pruskiego imponować nam będzie, tem gruntowniej znieczulimy w sobie nasz *nerw kulturalny.*

Bo tego ducha nie ma w pruskich pocztach, kolejach, żandarmach i kominach fabrycznych. To wszystko *pozory* kultury, nie *kultura.* Nie *ciało* bowiem, lecz *dusza* stanowi o wartości człowieka. Jeżeli o jego wartości stanowi dusza, która ciała do swoich wyższych celów używa, to na cóż mamy, jak poganie, oddawać cześć bałwochwalczą pocztom, kolejom i kominom, skoro możemy w sobie wyhodować prawdziwie kulturalną atmosferę, w której wyginą zarazki gubiącego nas bałwochwalstwa.

Rząd pruski nie jest w stanie zatamować ten kulturalny nasz rozwój, nie zdolny jest ujarzmić ducha siłą fizyczną, gdy ten duch pełną piersią w nas oddychać zacznie. Czy może nam zakazać rząd, abyśmy nie czuli się wszyscy braćmi, abyśmy nie byli wzorowymi ojcami polskiej rodziny, oszczędnymi i trzeźwymi robotnikami, tęgimi obywatelami i ludźmi wolnymi duchem? Tej wolności jednakże nie może dać nam Prusak, który o niej dotąd pojęcia nie ma, który konstytucyę ma na to, aby ją gwałcono. Tę wolność musimy zdobyć sami, wówczas, gdy podźwignąwszy się z upadku, ujmiemy się w „Straży" za ręce i poczujemy się braćmi. Toć my dziś wyjałowieni i przybici chodzimy jak upiory dawnej wielkości i już tylko języka bronimy odruchowo, jakby język w wąskim swoim korytku zdołał pomieścić olbrzymi potok kultury narodowej. Nie, język nam nic nie pomoże, póki tego potoku kultury narodowej nie przeprowadzimy przez wszystkie cztery komórki serc naszych, póki wody tego potoku nie zaparują w mózgach naszych szczerze polską myślą, a wola tą parą popchnięta, nie rozsadzi tych kajdan materyalizmu, którym zaraziliśmy się od Prusaków.

Wszelkimi sposobami nęci nas i przyciąga ta materyalna siła pruskiego rządu. Zaraz po narodzeniu chce dziecko polskie ochrzcić po swojemu i ojciec walkę toczyć musi, aby jego córka na *a*, nie na *i* się nazywała.

W szkole zaszczepiają dziecku cześć dla materyalnej potęgi rządu, podziw dla wielkich mężów niemieckich, którzy polski naród gnębili lub gwałtów na nim się dopuszczali. W ostatnim czasie nawet kąpać polskie dziecko zaczęli, aby wszelkie wygody miało w objęciach kultury niemieckiej i nigdy jej nie zapomniało.

U wojska budzą w Polaku poczucie niezwyciężalności armii pruskiej, umyślnie każą mu służyć na zachodzie w rdzennie niemieckiem otoczeniu, aby zapomniał o ojczyźnie, a zawarłszy znajomość z Frycami i Ernestami, pokochał wszystko co niemieckie.

Na kolei, na poczcie, w sądzie, wszędzie łamać się musi język Polaka, aby opiewać chwałę pruskiej potęgi!

Jak strząsnąć ze siebie te obce wpływy, jak pozbyć się zgubnych ich następstw, co wobec nich „Straży" czynić wypada?

W pierwszym rzędzie „Straż" krzewić powinna kult wielkich mężów polskich, rozszerzać dzieła popularne o ich życiu i czynach.

Przeciwstawmy Marcinowi Lutrowi, który zakłócił porządek Europy, naszego szlachetnego Skargę, który ten porządek naprawiał, a wielką miłością Ojczyzny zagrzany naród do pokuty nawoływał i nawet dzisiejszą niewolę, jasnowidząc, nam przepowiedział.

Przeciwstawmy Fryderykowi, którego Prusacy dla ironii wielkim nazwali, który mamił Polskę efraimską monetą i Moskwę do rozbioru Polski namówił, przeciwstawmy mu istotnie wielkiego Kościuszkę, co to walczył na obydwóch półkulach za wolność ludów, który w życiu nigdy nie kłamał, a dobrocią i prostotą nawet wrogów rozbrajał!

Przeciwstawmy Szylerowi i Getemu naszego Mickiewicza, który czystością charakteru i górnością poetyckiego natchnienia obydwóch przewyższa, a poświęceniem dla Ojczyzny i bohaterstwem życia wzbił się do takiej potęgi, że jedynie najwięksi prorocy ludzkości w porównanie z nim iść mogą, a nawet Niemcy by nam go zazdrościli, gdyby się dziś jeszcze znali na ludziach w rodzaju Mickiewicza.

Przeciwstawmy Bismarckowi, o którym pewien Francuz powiedział, że jest co prawda wielką głową, ale nie wielkim człowiekiem, który zdemoralizował do reszty politykę europejską, przeciwstawmy mu Stanisława Szczepanowskiego, który tę zgniliznę zachodu obnażał i płomiennymi przemowami do odrodzenia nas nawoływał.

Niemieckim Kaulbachom, Mentzlom i Lenbachom przeciwstawmy naszego Matejkę, który szlachetnością i prostotą życia nie mniej nas porywa, jak genialnymi obrazami, w których przedstawił z rzadką trafnością wszystkie świetne chwile naszych dziejów.

Na żadnem polu nie ustępujemy Niemcom, a na niektórych, jak w poezyi spółczesnej stoimy wyżej od nich.

W wielkich ludziach tryskają źródła prawdziwej kultury narodowej. Niech „Straż“ zachęca i uprzystępnia kąpanie się w tych krynicach polskości, abyśmy wybili sobie z głowy i wyrugowali z serca podziw dla pruskich wielkości.

Znała ten sposób krzewienia kultury narodowej w roku 1848 założona Liga polska i zaczęła wydawać życiorysy sławnych mężów polskich. Niestety rząd pruski rozwój jej uniemożliwił.

Niech „Straż“ podejmie tę myśl na nowo, a zdobędzie jeden z najważniejszych środków krzewienia kultury narodowej.

Książki same jednak nie wystarczą. Niech w tych wszystkich chwilach, w których nie potrzebuje słuchać rozkazów pruskich, oddycha dziecko szczerze polską atmosferą, niech nie śpiewa po niemiecku, nie wtrąca niemieckich wyrazów do mowy ojczystej, niech nie bawi się z Niemczakami!

Odpowiednie wydawnictwa dla dzieci, urządzanie dla nich ogrodów, na wzór ogrodu, urządzonego w Pleszewie przez księdza Niesiołowskiego, gdzieby pod bacznym dozorem po za szkołą dzieci po polsku śpiewać i bawić się mogły, organizowanie starszej młodzieży po wsiach w kółka śpiewackie, któreby urządzały zabawy narodowe z deklamcyami i teatrzykami, a raz po raz wycieczki po kraju celem poznania polskich pamiątek, przeciwdziałałyby zgubnym wpływom niemieckiej kultury, niecićyby serdeczne przywiązanie do wszystkiego co swojskie. Oto, kierunek, w którym „Straż“ kulturalne cele spełniać powinna.

Gdy poznamy dobrze wszystkie skarby naszej kultury, przestanie nam imponować blichtr pruski, gdy przeciwstawimy ich sile materyalnej naszą siłę ducha, ich biurokratycznemu przymusowi naszą dobrowolną służbę dla Ojczyzny, ich gwałtom naszą sprawiedliwość i braterskość, ich niewoli naszą wolność ducha, wtedy dojdziemy do poczucia naszej potęgi i narodowej odrębności, której nikt nam ukraść nie potrafi i której zatrzeć w nas nikt nie będzie zdolny.

Wtenczas dopiero pokażemy światu, żeśmy nie tylko potrafili utracić byt polityczny, bo to i innym narodom się przytrafiało, żeśmy nie tylko umieli po upadku wytknąć sobie owe cele kulturalne, co już nie lada kto potrafi, ale że umiemy także wytrwać w raz obranym kierunku i dźwigać się do dawnej świetności, a do tego zdolny jest jedynie naród młody i pełen sił żywotnych. Jesteśmy narodem młodym, siły żywotne mamy, pokażmy zatem w „Straży“, że ich używać potrafimy.

Ludwik Posadzy.

Pożyteczne wydawnictwo.

W naszym ruchu wydawniczym nie możemy powiedzieć, byśmy nie mieli wydawnictw cennych i wartościowych; owszem jest ich wiele i to w każdym niełedwie kierunku umysłowości; ale przyznać trzeba, że wydawnictwa, zwłaszcza bardziej wartościowe co do treści, są drogie. Brak nam wydawnictw, któreby dawały rzeczy, dla każdego niezbędne, a ceną swoją niską umożliwiały nabycie wszystkim. Ten wzgląd jest bardzo ważnym czynnikiem rozszerzania kultury, podnoszenia skali i poziomu umysłowego. Odnosi to się zwłaszcza do rzeczy swojskich, rodzinnych — takich, bez znajomości których nie możemy uważać kogoś za człowieka inteligentnego i dobrego Polaka.

Społeczeństwa zachodnie, na wyższym stopniu kultury stojące od nas, chlubią się tem, że dzieła, odzwierciedlające najistotniej ducha narodowego lub dzieła, które mają znaczenie wszechświatowe, są dzięki swojej taniości dostępne nie tylko specyalistom, ale jak najszerszym warstwom. Jeżeli weźmiemy pod uwagę np. Niemców, widzimy tam, że utwory, przypuśćmy, Goethego, Schillera, Heinego i innych, całość ich utworów możemy nabyć za kilka marek, a więc za cenę bajecznie małą. U nas są wyjątki, wyjątki spontaniczne i nader rzadkie. Mamy „Bibliotekę dzieł wyborowych,“ dająca za małą opłatą dość wyborowe dzieła, mamy świeżo założone w Warszawie wydawnictwo „Taniej biblioteki wyborowej,“ ale to wszystko za mało.

Lubujemy się w ozdobnych, luksusowych wydawnictwach. Rok temu obchodziliśmy czterechsetną rocznicę urodzin „ojca piśmiennictwa polskiego“ Mikołaja Reja. Profesor Kallenbach wydał był w „Bibliotece dzieł wyborowych“ dwa czy trzy tomy jego dzieł, ale całości dzieł Rejowych nie wydał. Akademia umiejętności w Krakowie wydała „Zwierciadło“ Reja wytwornie, temi samemi czcionkami, co

„Pobudka wyborcza.“

Dzieje narodów uczą nas, że prawie każdy naród przechodził chwile ogromnego duchowego napięcia, w których dokonywał rzeczy niebywałych. Po takich historycznie wspaniałych chwilach następował spokój, w czasie którego narody owoce zdobyte nadzwyczajnym wysiłkiem przeistaczały na stały i trwały dobytek tegoczesnych pokoleń, kładąc w ten sposób podwaliny i fundamenty pod gmach rozwoju i szczęścia pokoleń przyszłych.

I w dziejach Polski moglibyśmy wyliczyć dość chwil takich wspaniałych i wzniosłych. Niestety jednakże te dzieje Polski uczą nas, że naród nasz nie posiadał czy zdolności, czy tyle świadomości potrzeby pracowania dla przyszłości, że te chwile wspaniałe nie zostały wyzyskane, zostały raczej często zmarnowane.

To też gmach dawnej Polski, gmach państwa polskiego runął. Szczęściem, że pod ruinami temi *nie zginął — naród polski.*

Pytanie jednakże, czy my „nieszczęśliwe wnuki szczęśliwszych od nas praojców“ z tego doświadczenia dziejów naszych umieliśmy skorzystać, czy skorzystaliśmy w dostatecznej mierze?

Pytania tego nie śmiem rozstrzygnąć. Uważam bowiem, że sąd wydać jest rzeczą łatwą, że atoli mniej łatwą rzeczą — jest sprawa naprawy istotnych stosunków. A to uważam za najważniejsze zadanie nie tylko tych, którzy porywają się do takich sądów, ale całego naszego narodu.

Naród nasz od chwili utraty państwa polskiego przechodził dużo fermentów wewnętrznych. Dusza nasza przeistaczała i przeistacza się nieustannie. Zdobyliśmy sobie i upowszechniliśmy dużo narodowych ideałów — i szczerze powiedziawszy, — zbliżamy się nieustannie choć powoli do urzeczywistnienia tych ideałów.

Zaliczam tutaj: ideał narodowego powszechnego uświadomienia, to znaczy, żeby każdy osobnik mówiący po polsku wiedział, że jest Polakiem, wiedział, jak Polakowi należy czuć, myśleć i działać dla dobra narodu. Jest to najogólniejszy ideał narodowy, odnoszący się do całego narodu bez względu na chwilowe miejsce pobytu, bądź stałe na dawnych ziemiach niepodległej Polski, bądź przejściowe na obczyźnie. Wyrazu „obczyzna“ używam tutaj w pojęciu najbardziej ogólnem. Mam więc na myśli całe polskie wychodźtwo czy to po różnych stronach Europy, czy też po różnych częściach reszty świata, a więc Ameryki w pierwszym rzędzie, Azyi, Australii i Afryki, dokądkolwiek Polacy wyemigrowali, i gdziekolwiek przebywają.

Drugim ideałem także ogólnym jest dażenie do — ***politycznego uświa-***

oryginał — ale dzieło kosztuje 60 kor.! Kto z tego będzie korzystał? I czyż nie lepiej byłoby zamiast wydawać rzecz luksusową, obrócić pieniądze na wydanie popularne, tanie? Towarzystwo literackie im. Adama Mickiewicza we Lwowie wydaje od lat kilku krytyczne wydanie pism Mickiewicza z waryantami, objaśnieniami etc., ale tom po kilka guldenów. Kupują zawodowcy. Nie lepiej byłoby obrócić monetę na tanie, kompletne wydanie pism Wieszcza? Za wzór powinna tu służyć „Macierz Polska,“ która puściła już w świat 120,000 „Pana Tadeusza“ po niesłychanie nizkiej cenie 10 centów.

A i w tych wydawnictwach mamy rzecz samą; niema tam objaśnień, któreby samoukowi ułatwiły poznanie dzieła i zaznajomiły go z autorem. Ma to niesłychane znaczenie dla samouków.

Tem radośniej należy witać wydawnictwo, które brakowi usiłuje zaradzić. Jest to wydawnictwo Feliksa Westa w Brodach (w Galicyi) pt.: „Arcydzieła polskich i obcych pisarzy.“

Bierzemy tomik do ręki. „Dziadów część III.“ Mickiewicza. Opracował dr. Konstanty Wojciechowski, docent lwowskiego uniwersytetu. Tomik składa się z dwu części: z tekstu „Dziadów“ i objaśnień Wojciechowskiego. Mamy w opracowaniu nasamprzód genezę utworu, wyjaśniającą, jak i wśród jakich warunków Mickiewicz trzecią część Dziadów napisał. Następnie objaśniony jest układ poematu i podana w najogólniejszych zarysach treść. Dalej spotykamy się z wyłuszczeniem i wytłomaczeniem widzenia księdza Piotra, wreszcie ze znaczeniem Dziadów.

Weźmy rzecz inną: Ujejskiego „Maraton“ i „Skargi Jeremiego.“ Opracował dr. Michał Janik. Opracowanie rozpoczyna krótkim żywotem poety, opowiada treść i genezę obu poematów, mamy charakterystykę talentu Ujejskiego, wreszcie uwagi o poezyi wieszczej w życiu i literaturze.

To jest schemat objaśnień, jakie się na czele każdego tomiku znajdują; dodać należy, że zawsze mamy zebraną najważniejszą literaturę do danego pisarza i utworu tak, by czytelnik mógł się zapoznać i z innemi zdaniami.

Opracowań podejmowali się najwybitniejsi krytycy literaccy w Polsce. Więc: o „Panu Tadeuszu“ prof. Stanisław Tarnowski, i Piotr Chmielowski; prócz tego Chmielowski o Słowackiego: „Lilli Wenedzie,“ o Krasińskiego „Nieboskiej Komedyi,“ Szekspira „Hamlecie,“ Sofoklesa „Antygonie,“ Kraszewskiego „Budniku,“ Byrona „Giaurze,“ Gogola „Obrazkach z życia,“ Brodzińskiego „Klasyczności i romantyczności,“ Szylera „Maryi Stuart; Wład. Dropiawski o „Maryi“ Malczewskiego, „Barbarze Radziwiłłównie“ Felińskiego, „Mohorcie“ W. Pola; Kazimierz Zimmermann o Słowackiego: „Beniowskim,“ „Mazepie,“ Kochanowskiego: „Odprawa posłów greckich; dr. Wiktor Hahn: o Słowackiego: „Anhellim,“ Korzeniowskiego: „Mnichu“ i wielu innych.

Wydawca daje nam cały szereg istotnych arcydzieł naszych i obcych twórców; nie z jednego czasu, ale od najdawniejszych do czasów obecnych. Od „Słowa o pułku Igora“ i „Dworzanina“ Górnickiego po wybór nowel Orzeszkowej, Prusa i Sienkiewicza.

Wydawnictwo „Arcydzieł polskich i obcych pisarzy“, tanie (tom 30 centów) a wyborowe oddać może wielką przysługę i pomoc przy nauce literatury ojczystej młodzieży naszej i samoukom. Chcący nie tylko poznać rzeczy najlepsze nasze, ale i je zgłębić, znajdzie tam niejedną wskazówkę, niejedną radę. Zwłaszcza w zaborze *pruskim*, gdzie w szkole młodzież potrzebnych wiadomości nie zyskuje, wydawnictwo przyczynić się może dużo do poznania, zgłębienia i ukochania tworów ducha polskiego.

H. W.

Po burzy.

(Korespondencya własna „Pracy“.)

Warszawa, 27 maja.

Teraz spożywamy w całej pełni owoce dwóch lat zawieruchy socyalistycznej: we wszelkich niemal dziedzinach pracy panuje u nas zastój niebywały, którego ciężar powiększają strejki, wcale niewygasłe, dzięki gorliwej czujności agitatorów.

W Warszawie nawet ruch budowlany zamarł zupełnie, powodując przymusowe bezrobocie 2 tys. cieśli, 4 tys. murarzy i w odpowiednim stosunku innych robotników fachu budowlanego, który w latach ubiegłych dawał

---

domienia, to znaczy: do wpojenia w każdego Polaka potrzeby korzystania z przysługujących mu *politycznych praw*. Prawa te w każdym zaborze są inne, to też każdy zabór poszczególnie dążyć musi do najwyższego uświadomienia sobie tych praw, które na mocy krajowych ustaw zostały mu przyznane.

Ani pierwszego ani drugiego ideału nie osiągnęliśmy jeszcze w żadnym zaborze w zupełności. I kto wie, czy nie winna jest temu odziedziczona po praojcach naszych niezdolność: *patrzenia w przyszłość*.

To jest faktem, że we wszystkich częściach dawnej Polski odłamki naszego narodu przechodzą pewne stopniowania ducha w górę i upadania na duchu. Dusza naszego narodu przechodzi chwile wysokiego napięcia oraz chwile martwego prawie spokoju.

Nie jest wolnym od tych fluktuacyi duchowych i nasz zabór pruski. Dowodzi tego przebieg obecnego strejku szkolnego, rozpoczętego bez planu i bez obliczenia sił i warunków zwycięstwa, bez uwzględnienia ewentualnych skutków, gdy strejk zostanie stłumiony. — Nie mniej dowodzą tego każdorazowe wybory już to jak niedawno do parlamentu, już to do sejmu pruskiego, które czekają nas za rok, już to wreszcie do jakichkolwiek innych ciał w zarządzie prowincyi, powiatów, miast czy gmin wiejskich.

Jeszcze nie wszyscy, którzy są uprawnieni do wyborów, z prawa tego korzystają. A przecież te prawa wyborcze, to są nasze najistotniejsze, największe — prawa polityczne. Tylko uciążliwa i gorąca agitacya w chwili samych wyborów zdobywa nam chwilowe „pyrrhusowe“ zwycięstwa. Gdy wybory miną, każdy z nas, czy korzysta z prawa swojego czy nie, rad jest, że znowu czas jakiś będzie miał spokój. Jedni są dumni że spełnili „obowiązek narodowy“ (!) — inni, że ustało pukanie do ich — ospałej i zgnuśniałej, często może nieuświadomionej „politycznie“ duszy.

Po wyborach przestajemy myśleć o wyborach, które minęły, i nie myślimy o tych, które nas czekają w przyszłości. Agitacya minęła, powoli milkną głosy prasy — następuje „błogi spokój“, to znaczy uśpienie, zgnuśnienie, martwota!

A co gorsza — istotnie gorsza — że jest wielu, którzy to widzą, a nie znajdują sił, a może brak im i odwagi cywilnej do zwrócenia społeczeństwu naszemu uwagi na to, jak mu daleko jeszcze do tego ideału politycznego, który powołuje nas jak żołnierzy na warcie do trwałej, stałej i zawsze równej czujności.

Szczęśliwie mam dziś do zaznaczenia fakt, który dla tego jest mi tak bardzo sympatyczny, że budzi — myśl o przyszłości, że budzi — nie tylko po-

zatrudnienie nietylko rzemieślnikom miejscowym, lecz ściągał zawsze do Warszawy parę tysięcy rąk roboczych z prowincyi, głównie z powiatów południowych gub. lubelskiej. Oczywiście w tych warunkach musiały ograniczyć względnie zawiesić pracę także cegielnie podmiejskie, między innymi wielka cegielnia w Kawęczynie, i rzucone zostały na bruk setki, a nawet tysiące rąk bez pracy.

Zdawałoby się, że wobec powszechnego przesilenia, jakie przechodzi teraz nasz kraj, interes elementarny nietylko pracodawców, ale także pracujących polega na zgodnem współpracownictwie przynajmniej w czasach obecnego przesilenia. Niestety wcale się na to nie zanosi. W tych działach przemysłu, które — jak przemysł metalowy — zostały zredukowane niżej połowy zwykłej wytwórczości, stosunki z konieczności ułożyły się pokojowo, ale w działach jako tako ożywionych bezrobocia są bez przerwy na porządku dziennym.

Obecnie grozi nam w Warszawie zatarg w przemyśle piekarskim, od dawna zresztą przewidywany. Fach piekarski stanowi u nas dziedzinę pracy, gdzie socyalna demokracya rozgospodarowała się zupełnie. W czasach bezwzględnego panowania sztyletu i rewolweru socyaliści zdołali postawić i przeprowadzić skalę wynagrodzenia oraz warunki pracy nie tyle korzystne dla robotników, ile wprost zabójcze dla właścicieli piekarń; dosyć będzie wspomnieć o warunku, że nie właściciel przyjmuje pracowników i usuwa, lecz ogół robotników, że porządek w zakładach utrzymuje nie administracya przedsiębiorstwa, lecz stosowni „mężowie zaufania".

Gdy kołowacizna rewolucyjna nieco zelżała, związek właścicieli piekarń zwrócił się do robotników przemysłu mącznego z żądaniem zmian z obowiązujących za czas tak zwanej rewolucyi warunków pracy. Robotnicy, rozumiejąc słuszność tego żądania, ile że gospodarka socyalistycznych mężów zaufania mocno dała się i im także we znaki, zgodzili się na poddanie owych warunków rewizyi. Przed świętami Wielkiejnocy przejrzano regulamin, cennik i ustalono za obopólną ugodą tymczasowe normy pracy, które następnie miały być przez obie strony zatwierdzone.

Socyaliści dołożyli oczywiście wszelkich starań, aby do ostatecznego porozumienia nie dopuścić. Agitacya ich dopięła tego, że znaczna część robotników obstaje teraz przy dawnych wymaganiach. Skutek mamy ten, że związek właścicieli zamierza rozpocząć lokauty.

Właśnie w niedzielę piekarze zapowiedź lokautu ogłosili, ku wielkiej radości piekarń żydowskich, które na długotrwałym chaosie wśród chrześcian w przemyśle mącznym doskonale robią interesa.

Na tem tle ciągłych zatargów, które rujnują i tak już zrujnowany nasz przemysł swojski lepszych jednostek, zasługują wysiłki, aby ująć masy robocze w karby organizacyi związków zawodowych i nadać żądaniom robotników cechy urzeczywistnienia, na rzetelne uznanie. Jest rzeczą wysoce pocieszającą, że organizacya związków zawodowych ma największe powodzenie w siedlisku największej anarchii, mianowicie w Łodzi. Najlepiej się tam rozwija związek zawodowy pracowników przemysłu włóknistego p. n. „Jedność", którego liczba członków przekroczyła już pokaźną cyfrę 16 tysięcy. Związek ten rozpoczął obecnie wydawnictwo tygodnika *Jedność*, poświęconego wyłącznie sprawom zawodowym.

W Warszawie z rozkazu jenerał-gubernatora zawieszone zostało na miesiąc czasu „za szkodliwy kierunek" wydawnictwo dziennika *Naród*. Mamy tu do czynienia z aktem najzupełniejszej samowoli, albowiem *Naród* wydawany w duchu narodowym, a przeznaczony dla najszerszych warstw, prowadzony był nader oględnie i aż nadto ostrożnie.

Z.

Listy lwowskie.

Lwów, 25 maja

(*Towarzystwo Nauczycieli szkół wyższych; — z pokłosia wyborczego.*)

W dniu Zesłania Ducha św. zjechali do Lwowa delegaci Towarzystw Nauczycieli szkół wyższych; zbiegła się tu drużyna wychowańców i kierowników dusz polskiej młodzieży, aby społem obradować nad doniosłemi w skutkach sprawami. Był to dwudziestytrzeci zjazd delegatów od czasu założenia, od marca 1884. Najpoważniejszej tej organizacyi na polu szkolnictwa liczba członków dochodzi do 1 300. Członkowie ogniskują się w Kołach, które rozsiane są gęsto po kraju; istnieją w prawie każdem mieście, gdzie znajduje się szkoła średnia. Kół takich w kraju znajduje się obe-

---

trzebę ale konieczność myślenia o tem, co było wczoraj i co być może — jutro.

Otóż faktem tym, to wydanie książki. Fakt to pozornie drobny, bo przecież na półkach księgarskich u nas codziennie pojawiają się nowe książki, ale książki tak niezbędnej, którąby zaspakajała w życiu naszem potrzebę tak bliską a tak bardzo ważną, dotąd w księgarstwie naszem nie było.

Książką tą jest — „*Pobudka wyborcza*"; autorem jej znany i powszechnie jako polityczny agitator ceniony p. *Karol Rzepecki*. Zebrał on na dwustu stronnicach bogaty materyał informacyjny, pouczający nas o wyborach do parlamentu, o liczbach, jakie oddaliśmy na posłów naszych od roku 1871, a więc od chwili powstania parlamentu aż do ostatnich styczniowych wyborów w bieżącym roku. W książce tej znajdują się liczby głosów polskich z każdego okręgu, gdziekolwiek i kiedykolwiek one padły na kandydata polskiego. „Pobudka" zawiera spisy osób należących do wszelkich naszych organizacyi wyborczych — a więc do „Polskiego Centralnego Komitetu Wyborczego" — do prowincyonalnych komitetów W. Ks. Poznańskiego, Prus Zachodnich, Górnego Śląska i całego polskiego wychodźtwa w głąb Niemiec, — a także spis komitetów powiatowych i okręgowych. Nie brak w tej książce także osób „delegatów". Nie brak w książce tej i urozmaicenia, które ułatwia i pobudza chęć do czytania — są więc w niej wszystkie fotografie posłów polskich do parlamentu i przedstawicieli najwyższych naszych władz wyborczych. Nie brak w niej także interesującej mapki, uwidoczniającej podział okręgów w dzielnicach naszych pomiędzy posłów Polaków i Niemców, należących do różnych partyi.

„Pobudka wyborcza" p. Karola Rzepeckiego zapełnia brak, jaki uczuwał każdy, ktokolwiek życiem politycznem naszem się interesował. Nie jest to jej autora jedyną ani największą zasługą, większą może jest to, co w moich uwagach szczególnie podkreśliłem, mianowicie że autor usiłuje myśl polityczną naszą zwrócić w kierunku — przyszłości.

W obec tego nie potrzeba osobnej zachęty do jej nabywania i czytania. Oczywiście książkę tę nabyć można w każdej księgarni, tak samo i w „Pracy", której czcionkami pobudka jest drukowana.

Dodam na koniec, że książka ta ze szczególną dobitnością przypomina nam starą prawdę: quidquid agis — prudenter agas — et respice finem!" co po polsku znaczy: *cokolwiek czynisz — czyń mądrze — i patrzaj końca!*

Idzi Świtała.

cnie 24. Mają one swoją organizacyę samodzielną, skupiają około siebie ruch umysłowy danej miejscowości. Wykładów wygłoszono w Kołach w roku zeszłym 120. Towarzystwo wydaje miesięcznik pedagogiczny „Muzeum“, jedno z najpoważniejszych wydawnictw w tym kierunku; redakcya jego spoczywa w wytrawnem ręku prof. dra Bolesława Mańkowskiego. Ponadto nakładem Towarzystwa wychodzą rozmaite podręczniki naukowe dla młodzieży; popyt na nie wzrósł bardzo w latach ostatnich, znajdują bowiem bardzo znaczny zbyt w Królestwie Polskiem, gdzie brak jest podręczników polskich, a zapotrzebowanie w miarę powstawania polskich zakładów naukowych coraz więk ze. Prócz tego od roku wydaje Towarzystwo „Naukę i sztukę“, w której ukazały się: dra Ludwika Kubali: „Stanisław Orzechowski“, prof. dra Edwarda Porębowicza: „Dante“, prof. dra Aleksandra Brücknera: „Dzieje języka polskiego“, Antoniego Sygietyńskiego: „Aleksander Gierymski“.

Towarzystwu Nauczycieli szkół wyższych zawdzięcza swe powstanie pierwsze na ziemiach polskich Muzeum szkolne, którego otwarcie odbyło się dnia 3 .b m., o czem pisaliśmy w jednym z poprzednich listów.

Jedną z najdonioślejszych spraw, jakiemi się zajmowało Towarzystwo w roku ubiegłym, to sprawa reformy szkół średnich. Ustanowiono w tym celu komisye we Lwowie i Krakowie, które opracowały projekt zreformowanej szkoły realnej w tym duchu, że szkoła nie będzie uczniów przeciążała naukowo, a dbać będzie o wykształcenie i fizyczne wyrobienie.

Zjazd zajmował się głównie trzema sprawami: 1-o krajową Radą pedagogiczną, instytucyą, jakiej stworzenia żądają obok krajowej Rady szkolnej; 2-o przeciążaniem uczniów w szkołach; 3-o niezawisłością nauczycielską w wykonywaniu obowiązków społecznych i publicznych.

Szkoła średnia galicyjska dzięki właśnie Towarzystwu staje się coraz bardziej narodową; tradycye komisyi Edukacyjnej, tej najdonioślejszej skarbnicy, do dziś niewyczerpanej krynicy poglądów wychowawczych, narodowych, tradycye te dziś u nas odżywiają i wzmagają się coraz bardziej. Do niedawna ze szkół galicyjskich wychodziła młodzież, której uświadomienie narodowe pozostawiało wiele do życzenia; dziś stosunki się zmieniają na lepsze, dziś młodzież pod dzielną egidą nauczycielstwa coraz bujniejszem żyje życiem narodowem.

Wybory dalsze poprawiły nieco sytyacyę polityczną i stanowisko przyszłej naszej reprezentacyi w Izbie poselskiej. Wszedł cały szereg posłów, wyrobionych politycznie, posłów, którzy dotąd kierowali Kołem Polskiem, i którzy wśród posłów zajęli już stanowisko bardzo wybitne.

Wybory do dziś nieukończone. Uwagi o nich odkładamy do czasu, kiedy otrzymamy wyniki zupełne. Nie możemy jednak przemilczeć kilku faktów.

Mandat polski z okręgu wiejskiego: Trembowla-Czortków wpadł w ręce syonisty. Wpadł dzięki stanowisku ludowców i magnateryi polskiej. Zamiast bowiem solidarnie popierać kandydaturę polską, dra Jana Sochy, postawioną przez Radę Narodową, ludowiec Wojewoda i hr. Baworowski rozbili głosy polskie i dr. Socha nie przeszedł w głosowaniu pierwszem. Przy głosowaniu ściślejszem Rusini zadecydowali na rzecz syonisty z Pragi dra Henryka Mahlera. Reprezentantem więc ludu polskiego w Galicyi wschodniej będzie — syonista, żyd z Pragi! Warcholstwo, które podcięło Polskę, i dziś jeszcze nie zamarło.

Temu też warcholstwu przypisać musimy utratę mandatu polskiego z okręgu wiejskiego Brzeżany-Buczacz na rzecz również syonisty. Ks. Gromunicki, kandydat Rady Narodowej przy wyborze ściślejszym padł głosami Rusinów przeciwko (łowi Gablowi.

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

50) Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Pod opieką Rosyi, Prus i Austryi miał pozostawać Kraków, który uznano wolnem miastem, niepodległem i ściśle neutralnem i przyłączono doń mały okręg po lewej stronie Wisły od wsi Kościelnik po Mysłowice z miasteczkami Chrzanowem, Krzeszowicami i Trzebinią.

Oprócz reprezentacyi politycznej zapewniono na kongresie Polakom zupełną wolność handlu dla płodów i wyrobów polskich po drogach lądowych i wodnych w granicach dawnej Rzeczypospolitej, a dla młodzieży całej Polski wolność kształcenia się na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Wkrótce potem Rosya, Austrya i Prusy zawarły w Paryżu tak zwane *Swięte Przymierze* (dnia 26 wrześnie 1815 r.) z takiem pobożnem i najszlachetniejszem postanowieniem:

— Tak w polityce międzynarodowej jak i w rządzeniu naszemi krajami obowiązujemy się w przyszłości postępować nawzajem według chrześciańskich zasad sprawiedliwości, miłości i pokoju! Będziemy odtąd pomagać sobie wzajemnie jako członkowie jednej społeczności chrześcijańskiej, jako narzędzia Opatrzności do rządzenia trzema gałęziami jednej i tej samej rodziny!

Niestety, takie wzbudzające szacunek postanowienie wyrażone było tylko w słowach, nie w czynach. Zaraz bowiem po owych zjazdach zaczęły mocarstwa przytłumiać wszelkie objawy i dążenia narodów do wolności, a *Swięte Przymierze* było właśnie jak najskuteczniejszem narzędziem do tego celu. Nie wiele też dotrzymano Polsce z obietnic, poczynionych jej na Kongresie Wiedeńskim; pomiędzy trzy mocarstwa rozdzielona straciła ona już stanowczo swą samoistność i zdana była odtąd na łaskę rządów zaborczych. Skutkiem Kongresu Wiedeńskiego było więc ogólne rozczarowanie i niezadowolenie, którem szczególnie przejęci byli Polacy[1]).

A przecież pomimo to, nie tracił naród polski swej wielkiej żywotności, lecz czuł się jakby na nowo odrodzony i młody, ożywiony nowemi nadziejami, pragnieniem postępu, najsilniejszą wiarą w przyszłość, w tym właśnie czasie, gdy Księstwo Warszawskie w Królestwo Polskie przemienić się miało.

— Księstwo Warszawskie — mówi współczesny Ant. Ostrowski — z wszelkich względów stało się żyjącą, wielką, nagle postępową Reformą; zabrakło mu tylko czasu, życia do zupełnego rozwinięcia się... przed skonem toż Księstwo Warszawskie było już w rzeczywistości głównem środkowem jądrem przyszłej cywilizacyi wielkiego Słowian narodu! A bardziej różowo co do wewnętrznego stanu państwa przedstawia rzecz Baczykowski (ur. 1792 r.):

— Polska w nowe szaty przystrojoną została i to nadało jej nowy pęd, nowy ruch, nowe wyobrażenia, nowe życie. Przemiana nastąpiła jakby w czarodziejski sposób. Znikły wszelkie dawne przywileje, zabytki nierówności, rozdziały i podziały kastowe, znikła nawet anarchia, nie-

[1]) Lewicki, 412—415; Sokołowski, IV, 1415; Limanowski, 82.

Spada na nas ciężki obowiązek ciągłej pracy narodowej wśród ludu. Nieuświadomienie polityczne okazało się w całej pełni. W pewnym okręgu włościanie polscy głosowali na cesarza Franciszka Józefa. Dowód to wielkiej nieznajomości ustaw, wielkiej ciemnoty.

Porażka nasza obudzić musi społeczeństwo do energicznej, twórczej pracy w duchu demokratycznym i narodowym. *M. N.*

Przegląd polityczny.

Zaczniemy tym razem od spraw wewnętrznych Niemiec. Ogromny *lokaut berliński* w przemyśle budowlanym, dzięki któremu prawie sto tysięcy robotników jest bez zajęcia poczyna już ciążyć na życiu społecznem nietylko Berlina lecz i Niemiec całych. Tysiące nieżonatych opuszcza stolicę; idzie na prowincyę i wytwarza tu bądź co bądź niezdrową do pewnego stopnia konkurencyę. Smutnym objawem życia społecznego są strejki i lokauty oparte na tle t. zw. próby siły. Jest to znamienną charakterystyką obecnych Niemiec, że mimo względnie najlepszego prawodawstwa społeczno-robotniczego tak częste i ostre rozgrywają się tragedye strejkowe. Wina tu leży oczywiście po obu stronach. Jeżeli jednak do pewnego stopnia wytłomaczyć sobie można nieświadomością i brakiem zrozumienia własnego, a i ogólnego interesu zaciętość pracobiorcy, to trudno uwierzyć, że pracodawca niemiecki tak mało posiada instynktów humanitarnych i społecznych, by znaleźć drogę do wzajemnej zgody. Na palcach możnaby policzyć w dzisiejszym przemyśle niemieckim ludzi o szerszych społecznych horyzontach, ludzi, którzy własny swój interes połączyć mogliby z interesem swych pracobiorców i interesem ogółu. Sprawie tej w następnym numerze poświęcimy kilka szerszych uwag, tem więcej, że i u nas w Księstwie (w Królestwie na porządku dziennym) daje się od czasu do czasu zauważyć równie fałszywe tendencye.

Poza tem czas świąteczny obfitował w liczne kongresy, z których najważniejsze były drezdeński związku gospodarczego i strasburski ewangielicko-społeczny. Na tym ostatnim znamienną mowę wypowiedział domniemany kandydat na ministra oświaty, znany berliński profesor teologii *Harnack* o potędze żywego słowa w dzisiejszych warunkach społecznych i politycznych.

W dziedzinie międzynarodowej polityki należy pewne dzisiejszy wybór ks. Jana Albrechta meklemburskiego regentem brunświckim. Jak wiadomo ma pretensye do tronu brunświckiego *angielski książę Cumberland*. Rząd rzeszy, a raczej rząd pruski nie chce go jednakże prędzej uznać, aż nie zrezygnuje z swoich zamiarów na dzisiejszą prowincyę hanowerską, ongi (do 1866) królestwa hanowerskiego. W wojnie austryacko-niemieckiej zabrały Prusy Hanower, a dynastyę wypędziły. Dynastya oczywiście nie zrzekła się swoich praw. Sprawa ta była obecnie przez kilka miesięcy aktualna z powodu śmierci dotychczasowego regenta ks. Albrechta pruskiego. Sprawa ta w innych warunkach nie miałaby pewno donioślejszego znaczenia prócz tego, że dwie rodziny królewskie kłócą się ze sobą. Dzisiaj jednakże w zawikłanych i naprężonych stosunkach angielsko-niemieckich — ta drobnostka Niemcom wiele jeszcze przyspożyć może, ba i przysparza kłopotu z powodu intryg, które im kochany wujaszek Edzio z Londynu wraz z księciem Cumberlandem na każdym wywołuje kroku. Nie popłacają zatem zaborcze instynkty.

Doświadczają tego zapewne Niemcy najdotkliwiej na swej polityce kolonialnej. Rok w rok rzucali w nie

---

zgoda, partye; nowa budowa wzniosła się, budowa równości prawa i porządku [1]).

2. Nowy podział ziem polskich.

Według uchwał Kongresu Wiedeńskiego, czyli według czwartego podziału Polski rozpadła się ona na pięć następujących dzielnic:

1) *Rzeczpospolita Krakowska.*
2) *Galicya.*
3) *Wielkie Księstwo Poznańskie.*
4) *Kraje Zabrane* (dawniej przez Rosyę) t. j. *Litwa i Ruś.*
5) *Królestwo Polskie* zwane *Królestwem Kongresowem* lub Kongresówką t. j. Księstwo Warszawskie pozostałe przy Rosyi.

Taki podział ziem polskich utrzymuje się do dziś dnia, z wyjątkiem zmiany co do Krakowa, który zabrała Austrya w r. 1846.

1) *Rzeczpospolita Krakowska* miała obszaru tylko 165 kilom. kwadr. (23 i pół mil kwadr.), ludności w całym okręgu 121,000, z których samo miasto liczyło 25,000. Tak małe państewko cieszyło się przecież ważnem zastrzeżeniem mocarstw rozbiorowych:

— Obowięzujemy się szanować neutralność Rzeczypospolitej i pod żadnym pozorem nie wprowadzać do niej sił zbrojnych!

Według konstytucyi, ułożonej przez Czartoryskiego, sprawował rządy Rzeczypospolitej Krakowskiej senat złożony z prezesa i dwunastu członków. Zgromadzenie reprezentantów, które co roku zbierało się w grudniu na 4 tygodnie, wybierało prezesa i 8 członków, dwóch wybierała ze swego grona kapituła, dwóch podobnież uniwersytet. Prezes obierany był na 3 lata, sześciu senatorów na jeden rok, sześciu było dożywotnich. Dzieliła się Rzeczpospolita na gminy miejskie i wiejskie.

Członkami zgromadzenia reprezentantów byli: deputowani gmin, senatu, kapituły, uniwersytetu i sędziów pokoju. W zakres władzy i zająć tego zgromadzenia wchodziły: władza prawodawcza, kontrola rządu odpowiedzialnego przed zgromadzeniem, wybór senatorów i sędziów pokoju, układanie budżetu [2]).

Sądownictwo było niepodległe, a sprawowały je sądy piewszej i drugiej instancyi, sąd najwyższy i sądy przysięgłych. Obowiązywał nadał kodeks Napoleona. Uniwersytet strzegł pilnie, ażeby prawo było należycie wykonywane i nie zostało naruszone. Językiem urzędowym był język polski. Milicya [3]) i żandarmerya pełniły na przemian kolejno służbę bezpieczeństwa i policyi. Prezesem Rzeczypospolitej został Stanisław hr. Wodzicki, sekretarzem generalnym Jacek Mieroszewski, Senat i Kapituła przedstawiały biskupa krakowskiego, którego mianowanie zastrzegł sobie cesarz rosyjski. Został nim uczony kanonik Jan Paweł Woronicz, autor wielu poematów. W okresie początkowym rządzili właściwie Rzecząpospolitą pełnomocnicy trzech dworów, a głównie najsurowszy z nich, sławny komisarz pruski Reibnitz.

Ale konstytucya Rzeczypospolitej była liberalna i po-

[1]) Limanowski, 84,85.

[2]) *Budżet*, z angiel., projekt, stan i wykaz coroczny przychodów i wydatków państwa.

[3]) *Milicya*, z łac., wojsko złożone z obywateli, z ludu, a nie należące do armii stałej. Dawniej każde miasto miało swoją milicyę.

miliony bez żadnej chociażby najdrobniejszej korzyści. Zawiódł ich cały aparat urzędniczy. W świeżej pamięci mamy wszyscy szkandale kolonialne, których echo odzywa się obecnie w procesie eksurzędnika wydziału kolonialnego Pöplau'a.

Rząd, chcąc dla swej polityki uzyskać poparcie sfer liberalnych mianował kierownikiem wydziału kupca, „człowieka praktyki" według serca liberałów p. *Dernburga.* Była to cena tem większa, że w konserwatywnym i antysemickim składzie rządowym zgodzono się na towarzystwo ekszyda. Wiemy jakie nadzieje budowali liberałowie z powodu nominacyi p. Dernburga, nadzieje, które zwiększały się, im więcej potulnymi stawali się wobec rządu. Tymczasem rząd zakpił sobie z ich lojalności. Uzyskawszy pozwolenie na utworzenie samodzielnego stanu kolonialnego obsadził wszelkie stanowiska urzędnikami, mniej lub więcej starymi i zasłużonymi. To też w narodzie szczególnie izraelskim od Berl. Tageblattu żałość i złość ogromna, tem większa, że między innemi na poważne stanowisko gubernatora południowo-zachodniej Afryki powołano dotychczasowego konserwatywnego posła v. Schuckmanna, który stał się słynnym dzięki swej moralnej mowie w sejmie pruskim na temat niemoralności panującej we wielkich miastach, a szczególnie w Berlinie.

Już w poprzednim numerze pisaliśmy, że gniewy te powoli się ułożą. Do czasu zwołania parlamentu czasu jeszcze wiele. A rząd potrzebując znowu pomocy liberalnej kokietowania złowi ich znowu na swą wędkę, a złowi dla przyczyn, o których ostatnim razem szeroko pisaliśmy.

W polityce zagranicznej cieszą się Niemcy dalszemi fiaskami. To też wyzyskują najdrobniejsze rzeczy, by je potęgować do zdarzeń światowego znaczenia. Taką operetką polityczną był swego czasu pobyt ks. Monaco, takim będzie przyjazd egzotycznego króla siamskiego.

Obecnie objeżdżają też Niemcy różne komisye *angielskie,* przyjmowane wszędzie z podpadającą ostentacyą i grzecznością. Z królewskiemi honorami przyjmowanemi są dziennikarze angielscy. Mowy, przyjęcia, obiady, toasty zmieniają się jak w kalejdeskopie. Mają one przyczynić się do nawiązania serdeczniejszych i przyjaźniejszych stosunków między Anglią i Niemcami. Przyznamy się szczerze, że w zasadzie wydaje nam się nawiązywanie stosunków między dwoma społeczeństwami przez wzajemne osobiste poznawanie się za nader szczęśliwe i dla rozwoju idei pokojowej nader korzystne. Nie wierzymy jednakże w tym przypadku wobec znanej buty i arogancyi niemieckiej w dłuższe dodatnie rezultaty. Słowa przeminą i wspomnienia znikną, a naga rzeczywistość powie, że zbyt rozbieżne są chwilowo interesy angielskie i niemieckie, zbyt głębokie niechęci, by wizyty powyższe mogły wydać plon dodatni.

Wspominając w przeszłym numerze *o wyborach w Austryi,* zaznaczyliśmy ogromne zwycięstwo idei radykalno-demokratycznej z jednej strony, wyznaniowej z drugiej. Odnosiły się te uwagi oczywiście do całej Austryi prócz Galicyi. Tu nie skończyły się jeszcze wybory. O ile je pozatem przewidzieć można, zwyciężyła tu w przeciwieństwie do reszty monarchii idea narodowa. Upadek przywódcy socyalistów polskich *Daszyńskiego* to największe zwycięstwo nasze. Zdawało się na pozór, jakoby „pan Ignacy" na całe życie miał dzierżyć mandat krakowski. Tymczasem wola ludu w pierwszem tajnem głosowaniu inaczej przemówiła. Radykalizm frazesowy, ubarwiony w Królestwie potokiem krwi i łez wylanych z powodu bezdennej głupoty politycznej „uświadomionych" towarzyszy socyalistycznych aż nadto odstraszająco podziałał na szerokie warstwy

---

zwalała rozwijać się temu małemu państwu. To też w r. 1818, gdy już skończyła się opieka komisarzy obcych dworów, uzupełniono konstytucyę Rzeczypospolitej, zniesiono konfiskatę dóbr, zaprowadzono wolność druku i zniesiono poddaństwo włościan. Odtąd właśnie mieli pełne prawa obywatelskie, używali wolności osobistej i rzeczowej, a stosunki ich z dziedzicami były oparte na zasadzie umowy [1]).

2) *Galicya* przypadła rządowi austryackiemu prawie w tych samych granicach, jak ją dziś posiada, z wyjątkiem tylko Rzeczypospolitej Krakowskiej. W Austryi rządził wtedy książę Metternich, wszechwładny minister cesarza Franciszka I, zacięty wróg wszelkich swobód konstytucyjnych. Jeszcze w czasie narad wiedeńskich postanawiał on sobie:

— Ani myślę zaprowadzać w Galicyi rządów konstytucyjnych, chociaż zobowiązałem się do tego na kongresie!

W r. 1817 wydał cesarz patent[2]), na mocy którego przywrócono zaprowadzone przez cesarza Józefa II (w r. 1775) *sejmy stanowe.* Lecz nie była to wcale reprezentacya kraju według postanowienia kongresu wiedeńskiego i w Galicyi pozostał nadal ten sam dawny system rządów, który utrzymywała nieufna i wroga dla narodu biurokracya [3]) i policya. Na owych sejmach stanowych zgromadzały się cztery stany: duchowieństwo, magnaci, stan rycerski i miasto królewskie, t. j. Lwów. Taki sejm stanowy wybierał z pomiędzy swych członków t. zw. wydział stanowy, w którego skład wchodziło sześciu deputatów, po dwóch z każdego stanu i jeden miejski. Na czele wydziału stał prezes gubernium krajowego, który dopuszczał tylko do załatwiania, w imieniu stanów, spraw mniej ważnych. Obowiązane były sejmy stanowe wysłuchać cesarskich *postulatów* czyli rozkazów, stąd zwały się także *sejmami postulatowymi.* Zajmowały się dalej rozkładaniem nałożonych podatków, dawaniem wyjaśnień rządowi w sprawach krajowych, układaniem próśb do cesarza, zarządem funduszu stanowego, nadawaniem prawa obywatelstwa. . Wszelkie ważniejsze zajęcia spełniały stany tylko za zezwoleniem rządu i samodzielnie nie było im wolno nic postanowić[4]).

3) *Wielkie Księstwo Poznańskie* przyłączone do Prus przynajmniej z początku w pomyślniejszych od Galicyi znajdowało się warunkach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) Lewicki, 416,417; Sokołowski, IV, 1415, 1441. — W pierwszych latach istnienia Rzeczypospolitej odbyły się w jej obrębie i w murach Krakowa dwie żałobne uroczystości narodowe. W lipcu r. 1817 przewieziono z Warszawy zwłoki ks. Józefa Poniatowskiego i złożono w grobach na Wawelu. Dn. 15 październ. r. 1817 zakończył życie w Solurze w Szwajcaryi Naczelnik Tadeusz Kościuszko. Dn. 19 czerwca r. 1818 przeniesiono jego zwłoki na Wawel, a po czterech dniach złożono je w grobach królewskich. Wnętrzności Kościuszki spoczywają na cmentarzu w Solurze, serce jego złożono niedawno w osobnej kaplicy w muzeum polskiem w Rappelswylu (w Szwajcaryi). Na wniosek Wodzickiego usypano dla Naczelnika pod Krakowem wspaniały „kopiec Kościuszki" na wzór mogił Wandy i Krakusa (w latach 1820—1823). — Sokołowski, IV, 1442—1445.

[2]) *Patent,* z franc., pozwolenie rządowe, przywilej, dyplom, świadectwo.

[3]) *Biurokracya,* z franc., władza urzędów lub urzędników, ich rządy w państwie bez udziału obywateli.

[4]) Lewicki. 417.418.

społeczne, by mogły iść na lep pięknych słów genialnego bądź co bądź demagoga.

Co prawda o zupełnem zwycięstwie polskiem mówić niestety nie można. Wina tu na różnych polega czynnikach. Nie najmniejszą brak dobrej woli, pozatem roznamiętnienie partyjne. Najcięższy zarzut spotyka partyę ludową, która w swej zajadłości stronniczej nie wahała się łączyć z wrogami naszych interesów, by obalić kandydatów narodowych. Nie wątpimy, że skoro ułożą się namiętności polityczne, przekonają się i ludowcy o swych błędach i grzechach narodowych. Przekonają się tem prędzej, że poznają, że po za Kołem Polskiem nic znaczyć nie będą, chociażby dla tego, że prócz Stapińskiego i Bojki nie ma między nimi w ogóle ludzi uświadomionych. Własny ich interes popchnie ich w ramiona Koła Polskiego. Wejdzie ono wówczas w starej swej sile do parlamentu wiedeńskiego. Zdemokratyzowane dzięki przyrostowi posłów demokratycznych, mając między sobą takie wybitne jednostki kierownicze jak Głąbiński, Dzieduszycki i inni, na nowe, dla rozwoju Galicyi korzystniejsze niewątpliwie wejdzie tory.

I w *dumie* Koło Polskie pracuje usilnie. W tych dniach wniosło nagły wniosek w sprawie zaprowadzenia wykładowego języka polskiego we wszystkich zakładach naukowych. Obrady nad powyższym wnioskiem odbyć mają się niebawem; będą one miały zasadnicze znaczenie, gdyż ujawnią publicznie stanowisko rządu i poszczególnych stronnictw rosyjskich w sprawie polskiej. Z stanowiska tego będzie można wywnioskować ich sentyment w sprawie autonomii Królestwa, którą również niebawem zająć ma się duma.

Przegląd prasy.

W „przeglądzie politycznym" wspominamy o wniosku Koła Polskiego w dumie w *sprawie szkolnej*. Podajemy go poniżej za pismami warszawskiemi raz ze względu na jego ważność, a powtóre, by podkreślić różnicę obecnego naszego położenia pod zaborem pruskim z warunkami i perspektywami, które otwierają się przed rodakami naszymi pod berłem białego cara.

Wniosek, zawierający zasady projektu brzmi:

„1) Zpoczątkiem 1907—8 roku szkolnego we wszystkich rządowych i publicznych ogólno-kształcących i zawodowych, niższych, średnich i wyższych (uniwersytet, politechnika, instytut weterynaryjny, instytut rolniczy i leśny w Puławach) szkołach w Królestwie Polskiem wprowadzony będzie wykład w języku polskim.

2) Dla dzieci osób pochodzenia rosyjskiego będą założone w odpowiedniej liczbie niższe i średnie szkoły z językiem wykładowym rosyjskim.

3) W powiatach z ludnością litewską i rusińską będą założone niższe i średnie szkoły lub klasy równoległe z wykładami w językach litewskim lub ruskim.

4) Język rosyjski w średnich szkołach należy do przedmiotów obowiązujących.

5) W szkołach prywatnych i szkołach gmin wyznaniowych, wybór języka wykładowego należy do założycieli tych szkół.

6) Ograniczenia wyznaniowe przy przyjmowaniu uczniów znosi się.

7) Na urzędy nauczycieli w Królestwie Polskiem mogą być mianowane również osoby, posiadające zagraniczne cenzusy naukowe, nie wyłączając poddanych zagranicznych.

8) Wszystkie ograniczenia w urzędowaniu osób pochodzenia nierosyjskiego w szkołach i Królestwie Polskiem znosi się.

9) Przy zarządzie warszawskiego okręgu naukowego urzęduje, pod przewodnictwem kuratora, komisya do spraw szkolnych, składająca się z dziesięciu osób, mianowanych przez ministra oświaty z pośród Polaków bez różnicy wyznania, znanych z prac swoich w dziedzinie nauki i spraw szkolnych.

10) Rada kuratorska, istniejąca przy kuratorze warszawskiego okręgu naukowego, będzie zniesiona.

11) Do kompetencyi komisyi szkolnej należy: a) realizacya zarządzeń, przewidzianych przez prawa niniejsze, b) wszystkie funkcye zniesionej Rady kuratorskiej, c) przedstawianie władzom kandydatów na urzędy w zakresie szkolnictwa i wychowania.

12) Moc obowiązująca przepisów niniejszych nie rozciąga się na szkoły, podległe Synodowi i ministerstwu wojny.

13) Wszystkie rozporządzenia prawodawcze, niezgodne z niniejszymi przepisami, znosi się."

Powyższe „Przepisy tymczasowe" mają być, według wniosku Koła, przelane do komisyi, złożonej z 33 osób, a potem pośpiesznie przedstawione Dumie do ostatecznego uchwalenia. Następnie przejść muszą jeszcze przez Radę Państwa, ażeby w końcu uzyskać sankcyę monarszą.

Obszerny memoryał wyjaśnia pozatem na tle historycznego rozwoju szkolnictwa w Królestwie potrzebę i konieczność polskiego języka wykładowego.

* * *

Jak wiadomo, odbył się w Poznaniu w dniu 17 grudnia r. z. wielki wiec w sprawie nauki religii udzielanej dzieciom polskim w szkołach w niezrozumiałym języku niemieckim. Na wiecu uchwalono adres do Ojca św. Na adres ów nadeszła obecnie na ręce marszałka powyższego wiecu *p. dr. Romana Komierowskiego* odpowiedź.

Podajemy ją w tłomaczeniu za pismami codziennemi:

Rzym, Watykan
14 maja 1907.

Jaśnie Wielmożny Panie!

Spotyka mnie zaszczyt powiadomienia Jaśnie Wielmożnego Pana z polecenia Jego Świątobliwości Papieża, że złożony w czasie udzielonego posłuchania u Stóp Jego przez przedstawiciela Komitetu wiecu katolickiego pełen przywiązania adres od katolików Polaków — Ojciec Święty ze szczególną życzliwością przyjąć raczył.

Wyrażone w nim uczucia uległości dla Stolicy Świętej i dostojnej Osoby Namiestnika Chrystusowego są niezmiernie miłe sercu Jego Świątobliwości; pochwalając też niezłomną wierność narodu polskiego dla Kościoła, nie zapomina on w dzisiejszych trudnych warunkach o potrzebach tej tak poważnej części swojej owczarni.

Ojciec Święty zalecając wszystkim ten spokój i tę rozwagę, która do rozwiązania spraw najtrudniejszych i najzawilszych tak bardzo się przyczynia, udziela ze szczególną miłością tak Jaśnie Wielmożnemu Panu, jak też tym, którzy adres podpisali, i wszystkim, którzy są im drodzy, Apostolskiego Błogosławieństwa, jako zadatku pociech niebieskich.

Szczęśliwym będąc, że mogłem wypełnić tak zaszczytne polecenie, korzystam ze sposobności, by wyrazić Jaśnie Wielmożnemu Panu, uczucia mego głębokiego poważania.

Ksiądz Adam Sapieha,
rzeczywisty podkomorzy Jego Świątobliwości.

Dla wszystkich uczestników wiecu słowa powyższe dostatecznie będą zrozumiałe. Od siebie pozwalam sobie dodać następujące uwagi: Powyższa odpowiedź przesłaną mi została przez Monsignora Sapiehę wprost od Ojca Świętego, jako akt nie politycznej, lecz religijnej natury, a nadto jako

dowód, że powstanie swoje zawdzięcza *osobistemu uczuciu Ojca Świętego.* — Doniosłość i znaczenie tego, że Ojciec Święty „pochwalając niezłomną wierność narodu polskiego dla Kościoła, *nie zapomina w dzisiejszych trudnych warunkach o potrzebach tej tak poważnej części Swej owczarni*" — a dalej przy przesłaniu błogosławieństwa wszystkim, którzy adres podpisali, zwrot dotyczący *„tych, którzy mu są drodzy"*, przemówi z dostateczną jasnością do każdego serca i stanowić będzie dowód uznania przez Stolicę Świętą naszych nieodzownych potrzeb w kształceniu religijnem naszych dzieci, a zarazem zadatek i rękojmię nieustannego przez Nią dopominania się o sprawiedliwość.

Roman Komierowski.

Nieżychowo, 23 maja 1907.

P. Komierowski zdaniem naszem za głębokie wysnuwa subtelności. Wiemy dobrze, jak trudnem jest położenie Stolicy Apostolskiej w kwestyi naszej. Z drugiej jednak strony zdaje nam się, że wobec miliona cierpiących owieczek więcej jasna odpowiedź byłaby nietylko na miejscu, lecz i konieczna. —

Tej jest brak. A obecna nie może zadowolić społeczeństwa, które spodziewało się innego głosu ze stolicy św. Piotra.

Ilu nas jest w Prusach?

W ostatnim roczniku wydawnictwa „Statistisches Jahrbuch für den preussischen Staat", opublikowanym staraniem urzędu statystycznego krajowego pruskiego, znajdujemy dane statystyczne ze spisu ludności, dokonanego w grudniu roku 1905 w państwie pruskiem. Według spisu tego, stan ludności polskiej w państwie pruskiem przedstawiał się jak następuje:

I. Terytorjum etnograficzne polskie.

obwód regencyjny	Język ojczysty niemiecki	niemiecki i inny	polski
	podało osób.		
1. Poznański	406,587	4,077	850,869
2. Bydgoski	354,714	3,353	365.387
3. Olsztyński	242,751	12,829	276,814
4. Gdański	511,423	4,968	192,327
5. Kwidz.	550,262	6,799	374,991
6. Opolski	757,187	55,230	1,158,789
	2.822,924	87,256	3,219,177

II. Terytorjum nie polskie.

Prowincya i obwód regencyjny	Język ojczysty polski podało osób
Prusy Wschodnie	
7. Królewiec	2,434
8. Gumbin	15,107
Brandenburgia	
9. *Miasto Berlin*	24,281
10. Poczdam	30,233
11. Frankfurt	16,224
Pomorze	
12. Szczecin	9,014
13. Koszalin	10,192
14. Stralsund	5,193
Śląsk	
15. Wrocław	50,391
16. Lignica	12,174
Prowincya saska	
17. Magdeburg	20,568
18. Merseburg	16,939
19. Erfurt	1,736
20. *Szleswik i Holsztyn*	6,016
Hanower	
21. Hanower	3,652
22. Hildesheim	3,775
23. Lüneburg	4,573
24. Stade	3,175
25. Osnabrück	156
26. Aurich	117
Westfalia	
27. Monaster	40,723
28. Münden	374
29. Arnsberg	97,703
Hesya i Nasawia	
30. Kassel	1,807
31. Wiesbaden	1,089
Prowincya Nadreńska	
32. Koblencya	289
33. Dyseldorf	45,623
34. Kolonia	2,556
35. Trewir	257
36. Akwizgran	446
Hohenzollern	
37. Sigmaringen	2
	427,269

W tych obwodach regencyjnych liczba osób, posiadających dwa języki ojczyste, wynosiła 78,707.

Statystyka urzędowa wykazuje przeto w całem państwie pruskiem w grudniu roku 1905 Polaków 3,646,446. Liczba ta jednak jest bez wątpienia niższa od rzeczywistej (patrz Berlin!). Wielu nieuświadomionych, lękliwych, od rządu zależnych, podało się, jeżeli nie za Niemców, to przynajmniej za „dwujęzycznych". Za dowód tego służyć może fakt, że większe liczby dwujęzycznych figurują wyłącznie w dzielnicach polskich lub w tych obwodach, gdzie przebywają w liczbie większej wychodźcy polscy. Liczba dwujęzycznych wynosi w całem państwie pruskim 165,963; wobec tego, że liczba narodowości nie niemieckich i niepolskich w Prusach wynosi około pół miliona, jest rzeczą prawie pewną, że z dwujęzycznych na Polaków nieuświadomionych lub lękliwych wypada około 140 tysięcy. Liczbę tę potwierdza statystyka z roku 1900, wykazująca 177,000 osób, które oświadczyły, że ich językiem ojczystym jest jednocześnie polski i niemiecki. Odliczając z tej liczby 140 tysięcy połowę tylko na Polaków, połowę zaś wykreślając na osobniki, które nie wykazują należytej odporności narodowej i, prędzej czy później ulegną germanizacyi, otrzymamy 70,000, które po dodaniu do urzędowej liczby 3,6[illegible] dadzą liczbę Polaków w państ[illegible]uskiem **3,716,446** głów.

[illegible]ku 1900 ilość Polaków w państwie pruskiem wynosiła 3,394,000 głów, w roku 1890 zaś 2,978,000. W dziesięcioleciu przeto od roku 1890 do 1900 przybyło nas w Prusach 416,000 czyli 14%, zaś w pięcioleciu od r. 1900 do 1905 przybyło przeszło 322,000 czyli $9^1/_2$%.

Przyrost ludności polskiej w Prusach większy jest od przyrostu ludności niemieckiej. W roku 1900 Polacy stanowili 9,59% ludności państwa pruskiego, w roku zaś 1905 — 9,78%.

Przyrost ten zawdzięczamy w pierwszej linii większej sile rozrodczej żywiołu polskiego. Przewyżka urodzeń nad zejściami wynosi w całych Prusach 7,6%; w obwodzie Poznańskim 9,78%, w Bydgoskim 10,13%, w Gdańskiem 8,58%, w Kwidzyńskim 9,45%, w Olsztyńskim 7,89%, w Opolskim 9,83%. Ta siła rozrodcza nie tylko pokrywa szczerby, jakie co rok w żywiole polskim czyni germanizacya, ale nawet powiększa stopniowo procent ludności polskiej wobec Niemców.

STRAŻ.

W sprawie pisowni nazwisk polskich.

Skarżono się ogólnie, że urzędnicy stanu, także i w Poznaniu, przy wystawianiu dzieciom szkolnym poświadczeń urodzenia przekręcali nazwiska żeńskie, wzbraniając się zapisywania końcówki żeńskiej. Niestety nie wszyscy ojcowie dochodzili praw swych z dostateczną wytrwałością, jak to uczynił p. *Marcin Olszewski z Żelazkowa p. Niechanowem.* Oddalony przez niższe władze udał się do ministra spraw wewnętrznych i taką na zażalenie otrzymał odpowiedź:

Berlin 19. 4. 07.

Minister spraw wewnętrznych.

I a 4.

W skutek wniosku Pańskiego powiadamiam WPana, że w krótce od urzędnika stanu w Lubochni otrzyma WPan poświadczenie urodzin swej córki Pelagii, w którem nazwisko jej zapisane będzie Olszewska.

podp.

v. Bethmann Hollweg.

Do gospodarza
p. Marcina Olszewskiego
w Żelazkowie.

Ważne to rozporządzenie podaje się do publicznej wiadomości z nadmienieniem, że osobom, które wniosków odnośnych pisać nie umieją, służy bezpłatnie pomocą biuro Straży.

Biuro Straży.

Dr. Tadeusz Jaworski.

T. C. L.

Sprawa zamiany książek w czytelniach ludowych W. Ks. Poznańskiego z wyjątkiem powiatu ostrzeszowskiego.

Sprawozdanie z działalności T. C. L. za rok 1906, drukowane w I. zeszycie „Czytelni Ludowej“ na rok bieżący, wykazało w cyfrach to, co z dawna już było publiczną tajemnicą, że wobec wzrastającej z roku na rok liczby bibliotek fundusze T. C. L. nie wystarczają, aby wszystkie czytelnie zasilać corocznie *nowemi książkami.*

W roku 1906 przeszło 700 czytelni nie otrzymało ani jednej świeżej książki, chociaż w roku tym T. C. L. wydało blizko 21 tysięcy marek na zakupno i oprawę nowych książek. Nie dziw więc, że do Zarządu Głównego napływały liczne skargi bibliotekarzy, że czytelnie ich leżą bez użytku, ponieważ czytelnicy już kilkakrotnie przeczytali cały zasób znajdujących się w bibliotece książek.

U osób szczerze oddanych sprawie T. C. L. zdawna już nie ulegało kwestyi, że zasilanie czytelni T. C. L. uledz musi zasadniczej reformie i jeżeli chromać niema, oprzeć się powinno na szerokim fundamencie ogólnej wymiany książek.

Więc z końcem roku zeszłego Zarząd Główny uchwalił, aby nadal zezwalać na zamianę książek między poszczególnemi czytelniami przez główną składnicę w Poznaniu. Znaczy to, że odtąd wolno każdej czytelni odesłać książki przeczytane do Poznania, a zarząd Główny w Poznaniu dostarczy jej nowych książek, jakich dotychczas w tej czytelni jeszcze nie było. Każdy zrozumie, że uchwała ta Głównego Zarządu jest uchwałą bardzo ważną i że wprowadzi do czytelnictwa naszego ruch nowy i zbawienny.

Ale żeby cel został osiągnięty potrzeba, aby ruch, który mocą tej uchwały się rozwinie, od samego początku skierowany był na tory właściwe. A są mianowicie dwa ważne warunki, o których od samego początku pamiętać należy.

1. Zamiana książek odbywać się musi bez szkody dla czytelników, więc w czasie, w którym lud najmniej z czytelni korzysta. Najdogodniejszą ku temu porą są miesiące latowe: czerwiec, lipiec, sierpień — ostatecznie początek września.
2. Zamiana książek skutecznie się odbyć może tylko wtedy, kiedy udział w niej wezmą równocześnie wszystkie nasze czytelnie, a przynajmniej bardzo ich wiele. Tylko wtedy, kiedy nasza główna składnica w Poznaniu znajdzie się w pewnym, z góry oznaczonym czasie w posiadaniu kilkudziesięciu tysięcy książek, tylko wtedy będą mogły książki, które przecież w 100, 200 a czasem i więcej czytelniach się powtarzają, być przesunięte tak, aby każda czytelnia otrzymała książki świeże.

Bezwątpienia życzenia godnem byłoby, abyśmy już w roku bieżącym zamianę książek przeprowadzili we wszystkich naszych czytelniach. Jednakże względy technicznej natury nakazują nam pewną powściągliwość i skłaniają nas do podziału pracy, której ogromu obecnie, gdzie jesteśmy w tej mierze jeszcze bez żadnego doświadczenia, ani zmierzyć, ani ocenić nie jesteśmy w stanie.

W roku bieżącym na pierwszy ogień, jako dzielnica stosunkowo najlepiej zorganizowana, ma iść W. Ks. Poznańskie.

Jako bibliotekarz główny T. C. L. przesłałem więc w pierwszych dniach b. m. do bibliotekarzy T. C. L. w W. Ks. Poznańskiem z wyjątkiem powiatu ostrowskiego okólnik, w którym prosiłem ich, aby w maju książki wypożyczone pościągali do swych czytelni, a w czerwcu wszystkie książki, jakie czytelnie ich posiadają, odesłali do naszej głównej składnicy w Poznaniu.

Tutaj wszystkie książki przejrzymy, przestarzałe i nieodpowiednie odłożymy, uszkodzone naprawimy, wszystkie przesunimy, o ile się da według własnych życzeń bibliotekarzy i dodając do nich kilka tysięcy nowych książek, z katalogiem (wykazem) dla każdej czytelni z początkiem września znowu do poszczególnych czytelni roześlemy.

Co do szczegółów zamiany książek i technicznej jej strony prosiłem bibliotekarzy, aby baczyli na następujące uwagi.

1. Przyjmujemy książki do zamiany tylko *do 30-go czerwca.*
2. Książki należy odsyłać do Poznania *frachtem,* z bliższych stron nawet okazyą, aby jak najmniejsze były koszta. Ktoby niechciał przesyłki frankować, nie potrzebuje.
3. Książki należy odsyłać w dobrem opakowaniu, najlepiej w drewnianem pudle, wyłożonem papierami.
4. Paki frachtem przesyłane, adresować należy = *Express, Posen.* = Expres nazywa się firma spedytorska, której powierzyliśmy przewózkę odsyłanych pak z książkami z dworca w Poznaniu do naszej głównej składnicy. Wypisany już list frachtowy, gotowy do użytku, dołączyliśmy do okólnika wysłanego do bibliotekarzy. Pakę z książkami należy oznaczyć = T. C. L. 8. Posen. =
5. Do każdej przesyłki należy dodać dokładny adres bibliotekarza.
6. W razie potrzeby zgłosić się o poradę i bliższe wskazówki do swego delegata.

Z miasta Poznania odbierzemy książki sami w dniu, który po porozumieniu się z bibliotekarzami poznańskimi główny bibliotekarz jeszcze wyznaczy — dla powiatu ostrzeszowskiego zaś tworzy się o tyle wyjątek, że bibliotekarze z tego powiatu odsyłają książki do swego delegata powiatowego, pana A. W. Wodniakowskiego w Ostrzeszowie, który potem je razem do Poznania odeśle.

Paki z książkami, odwiezione do Poznania okazyą, należy oddawać w biurze T. C. L., Piekary 10.

Czy i o ile sprawa zamierzonej zamiany książek się uda, zależeć będzie najpierw od gorliwości bibliotekarzy T. C. L., a potem w niemałej też mierze od dobrej woli klienteli naszych czytelni i wogóle społeczeństwa.

Korzyść rzetelną przyniesie ta zamiana czytelniom tylko wtedy, jeżeli będzie zupełną, to znaczy, jeżeli bibliotekarze odeślą rzeczywiście wszystkie książki, jakie czytelnie ich posiadają.

Dla tego proszę i wzywam wszystkie te osoby, w W. Ks. Poznańskiem z wyjątkiem powiatu ostrzeszowskiego, które książki z czytelni ludowych wypożyczyły, aby wypożyczone książki w tych ostatnich dniach maja oddały z powrotem do swej czytelni.

Przypominać chyba nie potrzeba, że wymiana książek odbyć się ma jedynie dla dobra czytelników, dla tego też od nich chyba żądać można, aby do powyższej prośby wszyscy czytelnicy wspólnie i punktualnie się zastosowali..

Oświatowców zaś i wszystkich ludzi dobrej woli w W. Ks. Poznańskiem proszę usilnie, aby sprawą zamierzonej zamiany książek zechcieli łaskawie poprzeć swą opieką i pomocą.

A są mianowicie dwa względy, dla których wielu bibliotekarzom T. C.

k. czynna pomoc bardzo będzie potrzebną.

4. Paki z książkami mają bibliotekarze przesyłać frachtem. Zaadresowany list frachtowy dołączam do każdego okólnika, ale kilka rubryk w liście frachtowym musi jeszcze bibliotekarz wypełnić sam. Niejeden z nich może dotąd nic jeszcze frachtem nie wysyłał, dla tego przez okólnik mój może być wprowadzony w poważny ambaras,

Bardzo wielki procent naszych czytelni nie leży nad koleją, a również wielki procent naszych bibliotekarzy jest ubogi, nie posiadający własnych koni, którzyby pakę z książkami odwiozły do stacyi kolejowej.

Ci bibliotekarze skazani są na okazyę.

Nie wątpię, że w najmniejszej nawet wiosce znajdzie się ktoś, co potrafi list frachtowy wypełnić oraz będzie mógł dać biblitekarzowi „okazyą" do odwiezienia paki z książkami do stacyi kolejowej.

W szczególności proszę o tę pomoc dla bibliotekarzy:

We wsiach kościelnych *Przewielebne Duchowieństwo*,

w dominiach *Panów Dziedziców*,

we wsiach gospodarskich zamożniejszych Gospodarzy.

Mówi się u nas wiele o potrzebie oświaty ludu. Mam więc nadzieję, że obecnie, gdzie nadarza się sposobność, społeczeństwo W. Ks. Poznańskiego zechce także czynem zadokumentować swe zrozumienie dla ważnej sprawy oświatowej.

Poznań, dnia 25-go maja 1907.

bibliotekarz główny T. C. L.

Dr. Stefan Michalski,

Wiadomości.

* **Z powodu uroczystego** *święta Bożego Ciała* zakończyliśmy tym razem redakcyę niniejszego numeru w środę, dnia 29-go z. m., w południe.

* **Zabawne wybory.**

Niezmierną wesołość wywołały wtorkowe wybory do drugiej klasy, drugiego okręgu do Rady miejskiej w Poznaniu. W miejsce zmarłego p. Förstera, Niemca, miano obrać innego.

W liście było zapisanych 320 Niemców i 180 Polaków; z góry więc nie należało liczyć na zwycięstwo, chociaż warto było popróbować, czy fatum jakieś nie rozstrzygnie na naszą korzyść.

Do godziny $4^1/_4$ mieli przeciwnicy 152, Polacy 68 oddanych głosów. Naraz od godz. $4^1/_2$ zaczęli się schodzić Polacy na Ratusz jak mrówki do mrowiska lub pszczoły do ula; radzca sprawiedliwości p. Placzek osławiony agitator stronnictwa żydowsko-wolnomyślnego i sojusznik hakaty, gdy chodzi o zwalczanie Polaków, wyleciał jak oparzony z Ratusza i nuże z adjutantami pędzić po Rynku i przyległych ulicach byle tylko zgromadzić jeszcze nieco żydowskiej rezerwy.

Polacy oddali ostatecznie 144 głosy, przeciwnicy 172. Kapitalne było, jak p. radzca sprawiedliwości 4 czy 5 razy pędził z powrotem na Ratusz za każdym razem w obawie czy go czasem Polacy już nie przelicytowali.

Można było zdobyć krzesło gdyby nie dwa błędy. Po pierwsze poszli nasi inteligenci wbrew dyspozycyi głosować za rychło bo już o $4^1/_2$ przez co zwrócili za rychło uwagę p. Placzka na zlatujące się pszczółki; tak głosowali za wcześnie pp. K. W. P. K. i kilkunastu innych, chociaż ich proszono, aby nie ukazywali się rychlej jak dopiero o 5—7 minut przed 5-tą.

Po drugie mieliśmy kilku chorych, kilkunastu w podróży. Gdyby inteligencya zamówiona mimo to była dopisała, gdyby trzymano się ściśle dyrektywy, bylibyśmy przeszli, bo p. Placzek nie byłby „normalnie" więcej zdołał przyciągnąć jak 160 głosów do urny, a tyle mogliśmy byli także zgromadzić. Powodem nieprzeprowadzenia byli ci panowie, którzy proszeni do pracy agitacyjnej, woleli siedzieć po restauracyach, kawiarniach lub gruchać w majowej ciszy wieczornej, zamiast pełnić swój obowiązek społeczny. Ale taką już jest nasza inteligencya i na poprawę jej liczyć wcale nie warto. Na przyszły raz wymienimy wszystkich po nazwisku, którzy mogąc — nie stawią się do urny. Tymczasem pan Placzek zdołał jeszcze „uratować niemczyznę" z swoją falangą żydowską (trzeba wiedzieć, że ewangielicy-Niemcy głosowali procentualnie bardzo licho). W przyszłości sam rozwój nasz ekonomiczny sprawi, że okręg ten przejdzie w nasze ręce.

* **Dzielimy się** z Czytelnikami naszymi miłą wiadomością, że udało nam się w osobie p. *dra Stanisława Kozickiego* uzyskać stałego korespondenta z *Warszawy*. Listy znanego publicysty i naczelnego redaktora tamtejszego pisma codziennego „Narodu" zajmą niewątpliwie Czytelników. — Chcemy wierzyć, że Czytelnicy uznają nasze dobre chęci i starania i okażą nam swoją przychylność zyskiwaniem nowych Czytelników i abonentów.

* **Raz jeszcze** zwracamy uwagę na *„Pobudkę wyborczą" p. Karola Rzepeckiego*. Już w przeszłym numerze wspominaliśmy krótko o jej zaletach; dziś ze względu na dochodzące nas pytania podkreślamy po raz wtóry naszą opinię zaznaczając równocześnie, że w najbliższym numerze ukaże się obszerniejsza ocena powyższej broszury.

* **Znowu skurczono** *ojczyznę o 208 mórg!* Jak donosi „Posener Tageblatt," pod samem Gnieznem *gospodarstwo*, obejmujące przeszło 100 *spodarz Tubacki* sprzedał swoje gomórg komisyi kolonizacyjnej. Jednocześnie donoszą gazety zachodnio pruskie: W *Starych Polaszkach* (Prusy Zach.) sprzedał p. *Dębek* swoje 108-morgowe gospodarstwo spółce hakatystycznej z Kościerzyny za 35 000 mrk.

Niestety! szeregi włościan-sprzedawczyków pomnażają się niemal z dniem każdym!

* **Ksiądz proboszcz Kaczmarek i p. dr. Stańczyk,** obaj z Wyrzyska stawali przed izbą karną w Pile z powodu 9-letniej dziewczynki Tetzlaw z Mieszkowa, ukaranej nadmiernie przez nauczyciela za opór podczas niemieckiej nauki religii. Ks. prob. Kaczmarek zajście to opublikował na podstawie świadectwa p. dr. Stańczyka. W opisie tym powiedziano, że nauczyciel Piechota wyrywał dziewczęciu włosy z głowy i deptał ją nogami. Niebawem po publikacyi księdza proboszcza Kaczmarka nauczyciel Piechota otrzymał mnóstwo listów z pogróżkami. Listy te odczytano w procesie.

Prokurator żądał dla księdza Kaczmarka *2 miesiące więzienia, ale sąd skazał go na 500 mrk. kary i koszta. Pana dr. Stańczyka skazano na 100 marek kary i koszta.*

* **Proces o obrazę sędziego.** W Gnieźnie toczył się świeżo przed izbą karną ciekawy proces przeciwko pp. lekarzowi *drowi Szumskiemu z Mogilna*, zawiadowcy *Leonowi Gertigowi* z Inowrocławia i redaktorowi „Lecha" *Tesce* o rzekomą obrazę sędziego *Brülla z Mogilna*. Sąd ustanowił po *100 mrk. kary dla pp. dra Szumskiego i Teski, p. Gertiga uwolniono.*

* **Licytacya** *zafantowanych mebli ks. proboszcza dr. Surzyńskiego* z Kościana odbyła się w Srodę, dnia 22-go z. m. na rynku miasta wobec wielkich tłumów ludu naszego. Nikt nie licytował, przeto meble kupił pan dr. Laurentowski (za kanapę i dwa fotele 220,13 mrk.) i pożyczył je swemu proboszczowi.

* **Pan Kulerski** z Grudziądza kupił w zeszłym tygodniu na publicznej licyt. wydawnictwo „Przyjaciela Ludu" w Poznaniu. Pan Kulerski zamierza podobno według doniesienia „Postępu" „Przyjaciela Ludu" zamienić na pismo codzienne i wydawać je nadal w Poznaniu.

* **Zniesiona kara.** „Dzien. Berl." donosi, że po długich korowodach prowincyalne kolegium szkolne zniosło karę 50 m., jaka na szewca p. Zielichowskiego nałożona została za to, że w jego mieszkaniu osoba z patentem nauczycielskim udzielała dzieciom nauki przygotowawczej do św. Sakramentów. — Kara ma go jednak spotkać w przyszłości, gdyby się nie „poprawił".

* **Wycieczka pań do Krakowa.** Szanown. Czytelniczkom donosimy, iż w końcu czerwca odbędzie się wspólna wycieczka pań do Krakowa na kurs

wakacyjny przy uniwersytecie Jagiellońskim; pozatem odbywać się będzie wspólne zwiedzanie pamiątek, dzieł sztuki, oraz okolic Krakowa, a w końcu lipca nastąpi wyjazd do Zakopanego dla odpoczynku i zwiedzenia Tatr.

Plan wykładów z dziedziny językoznawstwa, historyi, piśmiennictwa i przyrody ogłosimy, skoro będzie gotowy.

Wszelkich wyjaśnień udziela i zgłoszenia uczestniczek wycieczki przyjmuje p. *Zofia Sokolnicka* w Poznaniu na Piekarach nr. 16, II p. (Bäckerstr.)

Do wycieczki mogą przyłączyć się panie, tylko częściowo pragnące korzystać z wykładów, oraz panie, udające się do Krakowa tylko celem zwiedzenia go lub obcowania wśród swoich.

* **Bytom.** Przed tutejszą izbą karną stawał *ksiądz proboszcz Rogowski z Jędryska,* były kandydat do parlamentu w okręgu kluczborsko-eleskim, oskarżony o obrazę amtowego. Dnia 16 września z. r. mówił ks. R. także o pielęgnowaniu języka ojczystego. Obecny w kościele sekretarz amtowy spisał to, co ks. R. mówił i przedłożył amtowemu. Ten napisał do landrata, landrat znów do księcia Kardynała, który zażądał od ks. R. sprawozdania. Ks. R. otrzymawszy dnia 27-go października list od ks. Kardynała, wypowiedział na drugi dzień (w niedzielę 28-go) na kazaniu kilka ostrych słów przeciw denuncyantom. Stąd przyszło do skargi i procesu, który się długo przewlekał, bo nie było dostatecznych dowodów winy oskarżonego. Sąd rozpatrywał teraz tę sprawę i *skazał ks. R. na 300 mk. kary,* nie uwzględniając §193, choć prokurator przyznał oskarżonemu § 193 (obrona uprawnionych interesów) i wniósł tylko o 150 marek kary.

* **Chleb dla swoich.** (Ogłoszenie XXV z dnia 25 maja 1907.) Następujący przedsiębiorcy posiadający zakładowy kapitał, znajdą bez konkurencyi rodaków dobre utrzymanie: 1. adwokat z zapewnioną egzystencyą, 2. lekarz w najbliższej okolicy Poznania, 3. weterynarz, 4. kupiec bławatów, 5. kupiec garderoby męzkiej i sukna, 6. dyrektor fabryki za kaucyą 10,000 mk., 7. kupiec bławatów i garderoby męzkiej, 8. piekarz; pozatem są do nabycia hotel z zajazdem (wpłata 35 tys. mk.), 10. dom towarowy od innowiercy (wpłata 40 tys. mk.), 11. drogerya w większem mieście (wpłaty 16—20 tys. mk.). Bliższych informacyi udzieli Biuro Straży. Adres: Dr. Tadeusz Jaworski, Poznań — Posen. Prosimy o znaczek na odpowiedź.

* **Z rąk niemieckich** jest do nabycia hotel w większem mieście powiatowem (około 12 tysięcy mieszkańców). Dzielny kelner lub kucharz miałby najlepszą okazyę do zrobienia fortuny. Prosimy o zgłoszenia do ekspedycyi „Pracy“.

* **Zwracamy uwagę** na ogłoszenie firmy Maciejewski i Sp., szczecińskiego hurtownego handlu śledzi i nafty, w Poznaniu przy W. Garbarach 23, która w skutek stałych osobistych zakontraktowań w Szczecinie otrzymuje codziennie transporta nowych matjasów i takowe sprzedaje hurtownie po cenach jak najprzystępniejszych. Firmę tę polską, znaną z rzetelnej i szybkiej obsługi, polecamy uwadze szan. Czytelników naszych, a przedewszystkiem szan. właścicieli handli kolonialnych, restauracyi, hoteli, gościnnych itd.

* **Dentystka Polka** pragnęłaby osiedlić się w miejscowości, gdzieby miała wśród swoich byt zapewniony. O informacye prosi biuro Straży. Adres: *Dr. Tadeusz Jaworski,* Poznań — Posen.

* **Ważne** *dla podróżujących!* Wszystkich pp. podróżujących, agentów i reprezentantów fabryk i t. p. narodowości polskiej z całej Rzeszy niemieckiej uprasza się, aby w sprawie wielkiej doniosłości zechcieli we własnym interesie podać swoje dokładne adresy p. Fr. Slósarczykowi w Poznaniu, pl. Piotra nr. 3.

* **Pan J. Staszak,** *właściciel pierwszej poznańskiej fabryki kół,* w Poznaniu przy ulicy Bukowskiej 15 dostawia koła rozmaite do wozów, powozów i t. p. Rzetelnego i sumiennego rodaka-kołodzieja polecamy łaskawym względom Szanownej Publiczności.

* **Dortmund.** W num. 109 „Gońca Wielkopolskiego“ ukazało się jakieś sprostowanie ostrzeżenia niżej podp. towarzystw. Nie wchodząc na poszczególne punkta owego sprostowania, zaznaczamy wyraźnie, że naszego ostrzeżenia nie tylko nie cofamy, lecz nadal w całej pełni je podtrzymujemy, do czego się jeszcze przyłączyło Towarzystwo Przemysłowców polskich w Dortmundzie. Nie chodzi tu wcale o jakieś „osobiste produkta zemsty i nienawiści“ tylko o sprawy czysto towarzyskie.

Na życzenie służymy publiczności pojedyńczemi faktami.

Od redakcyi „Gońca Wielkop.“ żądamy podania nam tych prezesów i sekretarzy towarzystw, którzy owych panów w obronę biorą.

Dortmund, w maju 1907.

Towarzystwo gimnastyczne „Sokół“
Jan Kolenda, prezes. *Józef Nowak,* sekretarz.
Towarzystwo śpiew. pol. „Lutnia“
K. Piotrowicz, prezes, *Józef Olejniczak,* sekretarz.
Tow. Przemysłowców polskich
A. Nowakowski, prezes. *Fr. Łopatka,* skarbnik.

Ruch w Towarzystwach.

* **Wiec Straży** odbędzie się w *Nieżywięciu* P. Z. w niedzielę dnia 2-go czerwca b. r. na sali p. Pawłowskiego o $3^1/_2$ godz. po południu. Na porządku obrad: 1. Sprawozdanie z rocznej czynności i dalsza dążność „Straży“. 2. Położenie nasze społeczne i cele obronne przedstawi p. K. Wojciechowski z Brodnicy. 3. Zapis członków. 4. Wolne głosy o wzajemnej obronie. 5. Zwyczajne posiedzenie założonego towarzystwa ludowego; odczyt o przemyśle rolniczym wygłosi p. Dr. Ulatowski, redaktor „Gazety Grudziądzkiej“.

O liczny udział prosi rodaków miejscowych i z okolicy

Bolesław Bardzki,
starosta powiatowy.

Nekrologia.

† Ś. p. *Walentyna z Szumińskich Grabowska,* dnia 21-go z. m. w Toruniu. R. i. p.

† Ś. p. *Antoni Białobłocki,* dnia 22-go z. m. w Poznaniu. R. i. p.

† Ś. p. *Anna z Essmanow Ratajczakowa,* dnia 26-go z. m. w Poznaniu. R. i. p.

Od Redakcyi.

— *Panu I. W. 30.* — Może by dała Szan. Panu w tej sprawie informacyą księgarnia p. B. Chrzanowskiego przy ulicy św. Mrcina. Innych wskazówek Szan. Panu udzielić nie możemy.

— *Panu Alojzemu Józefowi G. w K. pod Trzemesznem.* — Nie wiemy.

— *Imci Ks. Prob. Gr. w Solcu.* — Dziękujemy — umieścimy w przyszłym numerze.

— Do *Krotoszyna.* — „Najcudniejsza z dziew“ w — koszu!

Nowe kursa handlowe
rozpoczynają się w mojej szkole handlowej dnia **4-go lipca. Gruntowna, praktyczna** nauka przez doświadczone i rutynowane siły nauczycielskie. **Osobny kurs uzupełniający w stenografii i pisaniu maszyną dla stenotypistów.**
Ośm pierwszoklasowych maszyn do pisania różnych systemów do dyspozycyi.

Prospekty na żądanie.

Praktyczne podręczniki o książkowości i wekslach w języku polskim i niemieckim własnego nakładu. **Wysełka za zaliczką. Rewizye i regulacye ksiąg handlowych i gosp.**

TEOFIL PREISS.
Dyrektor szkoły handl. Rewizor ksiąg.
Ul. św. Marcina 64, II. p.
Zakład założony 1893 r. Telefon 1983.
Zgłoszenia i prospekty także **ul. Nowa 7** w składzie. 196

Korzystne kupno!

Pod bardzo dogodnymi warunkami mamy na sprzedaż:

Resztę folwarku Zmyślona ligocka (Birkenwalde)

w powiecie Ostrzeszowskim, tuż przy granicy śląskiej obszaru **600 mórg,** w tem ca. **60 morg wyśmienitych łąk,** w dobrej kulturze, **z kompletnym żywym i martwym inwentarzem.**
Budynki wszystkie masyw pod dachówką wygodne w bardzo dobrym stanie, **zabezpieczone na 48 300 marek.** Zaliczki potrzeba ca. 10,000 marek. Kupujący oprócz landszafty nie przejmuje żadnych ciężarów. Zgłoszenia przyjmujemy w naszym biurze przy ulicy kościelnej nr. 6. 184

Spółka Parcelacyjna E. G. m. b. H.
w Ostrowie (Ostrowo i. P.)

Ja cię spiorę!

niegodziwy chłopcze.



Wyraźnie ci powiedziałam, kup mi paczkę prawdziwej **„Saponiny z koszulką"** za 25 fen., a ty mi przyniosłeś jakiś tam marny Seifenpulver.
Tylko **„Saponin z koszulką"** jest jedynie doskonałym i **nieszkodliwym** środkiem do prania bielizny i czyszczenia wszelkich sprzętów domowych. — **„Saponin z koszulką"** oczyszcza bieliznę bez **mydła,** bez **sody,** bez chloru. 652
Do nabycia w składach drogeryjnych i kolonialnych. Proszę wyraźnie żądać **„Saponin z koszulką!"** Gdzie nie ma na składzie, wprost z fabryki. 8 paczek za 2,— mk. franko.

Chemiczna fabryka „SAPONIA"
Czesław Nagórski, Pr. Stargard.

P. Müller

Poznań,
ulica Wrocławska 13.

Skład obuwia

męzkiego, damskiego i dla dzieci
poleca w wielkim wyborze wszelkie obuwie po bardzo nizkich cenach. w towarze rzetelnym i roboty lekkiej a trwałej.
Zamówienia podług miary i wszelkie reparacye wykonuję szybko, akuratnie i tanio. 195

— Panie, gdy przybyłem do Poznania, nie miałem całej marki w kieszeni.
— Ja, ani fenyga.
— Jak to?
— No, bo ja urodziłem się w Poznaniu.

Kasyerkę
starszą energiczną panią, władającą obydwoma językami poprawnie, poszukuje się od 1-go sierpnia b. r. do składu bławatów (Bazar T. z o. p.) Zgłoszenia z podaniem stosunków familijnych przyjmuje Ekspedycya „Pracy" pod nr. **192.** 192

W cyrku jarmarcznym.
— Patrz jak oni się piorą po buzi...
— E, to nic... Żebyś ty wiedział jak moja baba pierze!...

Plugi dwu- i trzyskibowe patentu Schütz & Bethke **najnowszej konstrukcyi.**
Każdy z tych płgów jest tak urządzony, iż w razie potrzeby można go użyć jako dwu- lub trzyskibowy. Dotychczas sprzedałem ich około 3800, **co najlepszem jest poleceniem.**



Patentowany plug „Fenix" piętrowy samochód, do głębokiej orki. Bardzo rozpowszechniony, zaleca się **lekkim chodem i szybkim a łatwym sposobem ustawiania głębokości orki.**

Główny reprezentant na W. Ks. Poznańskie

A. Bryliński

Poznań, Rycerska nr. IIa. — Telefon nr. 69.
Adres do listów: **A. Bryliński Poznań — Posen.**
Adres do telegramów: **A. Bryliński Posen.**
Skład machin i narzędzi rolniczych, krajowego i zagranicznego wyrobu.
Części zapasowe do pługów i rozmaitych machin.
Pracownia do napraw. 69

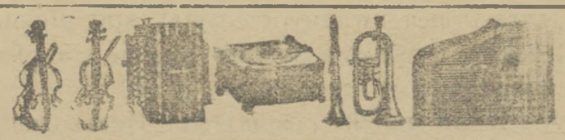
Najstarszy, lepszy warsztat i skład modnego i trwałego obuwia

K. May

Poznań, ul. Wilhelmowska nr. 15
poleca
po nizkich lecz stałych cenach 193
obuwie wszelkiego rodzaju,
począwszy od najmniejszych, mianowicie własnego wyrobu. **Sudoral!!** środek na pocące się nogi oraz różne cremy na obuwie (Everts) angielskie zawsze na składzie.

Skład 191

dewocyjny i materyałów piśmiennych
w większem mieście Księstwa, jest z powodu zmiany stosunków rodzinnych, korzystnie do nabycia. Łask. zgłoszenia uprasza się do Eksp. „Pracy" pod nr. **1051.**



107

Najtańsze, najlepsze i najkorzystniejsze muzyczne instrumenta
nabyć można u
Założono 1790. **M. Eibicha.** Założono 1790.
Stara polska firma w Poznaniu.
I skład: ul. Wrocławska 60, narożnik Starego Rynku
II skład: ul Dolna Wałowa 1.
Amerykańska gitarowa cytra zaraz bez nauki do grania z nutami, wszelkiemi polskiemi piosenkami i tańcami za 8,50 marek. Lepsze 10 mk., 15 mk. i 20 mk.
Bóg z nami! Bóg z nami!
Wielka - Warszawska - Koncertowa - Harmonika.
Harmonika Warszawska wyszła w tych dniach 33 cm. wysoka, 55 cm. długa, 17 cm. szeroka, miech z dwiema mocnemi balkami opatrzony, z niklowej blachy okute narożniki, sprężynki stalowe, organowy głos, 2 klucze, **tylko 4 marki,** 3 klucze 5 mk. 4 klucze 6 mk. — **Krakowska harmonika:** 5 lat gwar., cała z baleczek budowana, które są całkiem niklową blachą okute, dubeltowe dno, tak iż klawiatura nie może nigdy się ściągnąć, 2 klucze 48 głosów tylko **7 mk.** 3 klucze, 70 głosów 8 mk. 4 klucze, 90 głosów tylko 10 mk. **Harmonika** 6 kluczy prawdziwych do wyciągania, 136 głosów, tylko 15 mk. — **Skrzypce** dla każdego gracza, imponujące, wartość 10 mk. tylko 6 mk. z smyczkiem. **Skrzypce** lepszego gatunku z pudełkiem i smyczkiem tylko 10 mk. **Skrzypce** dla preperandów z pudełkiem i smyczkiem tylko 12 mk. **D. Klarnety** czarne z 5 klapami na wałkach mosiężne tylko 6 mk. **A. B. C. D. i Es. klarnety** z 6, 7, 8, 10, 12 klapami od 10 do 30 mk. i t. d. **Fletowersy, trąbki, bębenki** i dla szkół, muzyki orkiestrowej i straży ogniowej. **Cello i kontrabasy** w różnych gatunkach. Do **akordowej i gitarowej cytry polskie nuty i** wszelkie inne istniejące.
Zamówienia odsyła się pod największą zadowalniającą usługą przez pocztę. **Polskie i niemieckie cenniki** na żądanie gratis i franko.
Aby uniknąć zwłoki w przesyłkach proszę ardesować wyraźnie jak następuje: **W. Eibich, Posen, Breslauerstr. 60,** oraz proszę swój adres własny dokładnie podać.

Kupuję akcye

Teatru Polskiego

w ogrodzie Potockiego
w Poznaniu
płacąc obecną wartość natychmiast gotówką.
Zgłoszenia upraszam nadsełać pod adresem: **Schliessfach 117, Poznań (Posen)** pod literami: **T. P.**

Materyały piśmienne, wyborowe papiery, pióra, atrament i t. d. i t. d poleca

J. Wiśniewski

Księgarnia i skład materyałów piśmiennych.
99 **GNIEZNO**
ulica Tumska nr. 2.

Testament bankiera.

Z angielskiego tłumaczył M. P.

12)

(Ciąg dalszy).

Merrick schował klucze i chustkę i szukał dalej w szkatułce, ale daremnie.

Harry w milczeniu patrzał na niego.

Po chwili rzekł Merrick obojętnym tonem:

— Panie Skott, nie mów, proszę, nikomu o tej znalezionej szkatułce, chociażby tylko przez kilka dni!

— Ani słowa! Czy szkatułka okaże się ważnym przedmiotem, czy nie, ja słowa nikomu nie powiem!

— Tak wielkiej wagi nie przypisuję jej znowu — odrzekł detektiw, schodząc na dół — jest to jedynie potwierdzeniem tego, co już poprzednio skombinowałem!

— To znaczy, że pan jesteś przekonany, że chęć kradzieży była powodem morderstwa. Ale pan Vhiteney nie wierzy w to!

— Nie chciałbym tego twierdzić z zupełną pewnością — odrzekł Merrick wymijająco i dodał z uśmiechem:

— Pan Vhiteney ma swoje zdanie od samego początku i umie do niego zastosować wypadki, podczas kiedy lepiej jest zebrać najpierw wszelkie fakta i stosownie do nich wyrobić sobie zdanie!

Z temi słowami rozstali się obydwaj przy drzwiach stajni, ale zanim Harry zdążył wrócić do pałacu, wbiegł Merrick raz jeszcze do pokoju stangreta i po raz drugi otworzył szkatułkę. Z pod wybicia atłasowego wyciągnął teraz szybko kawałek złożonego papieru, żółtego już i zgniecionego, i pokrytego drobnem pismem, a gdy wszystko z wzrastającą uwagą przeczytał, stał długo, pogrążony w głębokich myślach i dopiero wejście stangreta wyrwało go z zadumy.

Kilka godzin później stał Harry sam przy trumnie zamordowanego, który dziś miał być pochowanym. Głowa zmarłego była lekko na bok przechylona, a gałązka białych lilii zakrywała ranę.

Z dziwnem uczuciem patrzał Harry na tę tak dobrze mu znaną twarz, na której Anioł śmierci już niejedną obcą narysował linią. I serdeczna litość zbudziła się w jego sercu, gdy pomyślał, jak niekochanym był za życia ten bogaty człowiek i jak mało go teraz opłakiwano i żałowano!

— Nieszczęśliwy — rzekł sobie w duszy — ani jeden z tych, którym wyświadczyłeś dobrodziejstwa, nie stanie dziś nad twoim grobem z uczuciem litości, tak jak ja, którego od chwili urodzenia oszukiwałeś i krzywdziłeś. Ale ja ci wybaczam złe, jakie mi wyrządziłeś, było ono małem w porównaniu do strasznej zbrodni, jaką popełniłeś względem twego brata, a — mego ojca! Z twego powodu nigdy ojca mego nie widziałem! Dopóki żyłeś, nie byłbym ci tego wybaczył, ale teraz, gdy stoisz na sądzie Bożym, zapomnę o twej winie tak, jak byłby to uczynił mój ojciec, spoczywający na dnie Oceanu! gdyby tak jak ja, stał tutaj nad twoją trumną! Niech ci Bóg łaskawym będzie sędzią!

Niedługo potem niesiono starą aleją dębową trumnę dziedzica zamku Chesnes, a za nią szło kilku jego krewnych i garstka znajomych i służby.

Pani La Grange została w domu, i stojąc przy oknie patrzała na orszak pogrzebowy. Gdy ostatni powóz znikł na skręcie drogi, jękła cicho, i zemdlona upadła na ziemię.

Na odgłos upadającego ciała wbiegły służące do pokoju, i gdy im się po długich usiłowaniach udało dotrzeźwić zemdloną, przeraziły się obiedwie wyrazem jej twarzy. Była ona jak obłąkaną.

Ale już po kilku minutach odzyskała całą przytomność. Z łagodnym uśmiechem spojrzała na służące i prosiła, aby nikomu o jej zemdleniu nie powiadały.

— Była to chwilowa słabość — szepnęła — ale teraz już mi zupełnie dobrze. Niech Kasia zostanie u mnie — muszę się przebrać!

Z pomocą Kasi poszła do swej sypialni i zdjąwszy ciężką żałobną suknią, ubrała się w lekki, wytworny szlafroczek.

— Nie wiesz — zapytała nagle Kasi — czy Walter poszedł także na pogrzeb? Albo czy został w domu?

— Pan Walter jest w swoim pokoju — odrzekła Kasia — i jak mi Hardy powiadał, pakuje swoje kufry.

Pani La Grange nie okazała ani zdziwienia ani gniewu.

— Powiedz mu, aby zaraz do mnie przyszedł — rozkazała krótko.

Walter La Grange opuścił Chesnes zaraz po ukończeniu badania i wrócił dopiero na kilka godzin przed pogrzebem, a tak powierzchowność jego i całe zachowanie się uległo w tym czasie wielkiej zmianie. Zauważyli to zaraz wszyscy i rozmaite pod tym względem czyniono uwagi.

Pomiędzy nim a matką panowała zawsze pewna obojętność, ani matka ani syn nie czuli do siebie wielkiej sympatyi, pomimo to jednak nie przyszło nigdy jeszcze do zerwania wszelkich stosunków. Chociaż Walter zupełnie był do matki podobnym, to nie posiadał ani jej energii, ani jej umiejętności odgrywania komedyi; dotychczas był on tylko narzędziem w jej rękach i wykonywał ślepo wszystko to, co mu kazała. Ale gdy teraz wszedł do jej pokoju, poznała na pierwszy rzut oka, że macierzyńska jej potęga i wpływy raz na zawsze się skończyły.

— Czego chcesz mamo — zapytał Walter szorstko.

— Czy tak syn do matki przemawia — odrzekła również ostro. — Do matki, która dla ciebie odważa się na wszystko!

— Ach, co tam — zawołał w uniesieniu — ja nie uważam wcale, aby sposób mamy, starania się o moją przyszłość, doprowadził do jakiegoś celu! Przed tygodniem jeszcze mogłem każdemu śmiało patrzeć w oczy — byłem wtedy jeszcze krewnym Hugona Mainwaringa i miałem dobre na przyszłość widoki. Co zaś mam teraz? Ani nawet nazwiska!

— Milcz! Jesteś synem Hugona Mainwaringa, bo ja byłam jego żoną! Ja zmuszę ludzi do uznania mnie za jego żonę, tylko musisz ty...

— Proszę, odpowiedz mi mamo na jedno pytanie — przerwał niecierpliwie. — Jeżeli jestem rzeczywiście synem Hugona Mainwaringa, to czemu nie noszę jego nazwiska? A jeżeli byłaś jego żoną, to czemu prosiłaś go przed trzema miesiącami, aby się z tobą ożenił?

Pani La Grange zbladła. Walter zauważył to i uśmiechnął się szyderczo.

— Tak — dodał po chwili — było to tego wieczora, kiedy ci podarował ów naszyjnik, który niedawno sprzedać miałem. Byłaś wówczas bardzo energiczną i groziłaś mu odkryciem jakiejś przez niego popełnionej zbrodni. Przypadkiem słyszałem wszystko, a teraz, gdy ci to powiedziałem, nie będziesz chyba usiłowała wmówić we mnie, że jestem synem Hugona Mainwaringa! Jeżeli chcesz mamo odgrywać dalej rozpoczętą komedyą, to rób, co ci się podoba, ale na moją pomoc liczyć już nie możesz!

Pomimo tych ostrych słów syna nie dała się pani La

Grange swej sprawy za przegraną. Była to kobieta chciwa, bez charakteru i aby dojść do celu, nie przebierała w środkach. Zbierając teraz całą siłę woli nadała swej twarzy wyraz głębokiego smutku i rzekła cicho:

— Jesteś niewdzięcznym, Walterze! Powinieneś się wstydzić rzucać taką obelgę na matkę i wystawić ją na plotki służby! Strzeż się! Tobie zresztą wyznam szczerze, że odgrywam komedyą — sam tak powiedziałeś, ale ja chcę i muszę osięgnąć to, nad czem od tak dawna pracuję! Jesteśmy krewnymi Hugona Mainwaringa i mamy takie same prawo do jego majątku, jak ci inni! Lecz jakie mielibyśmy widoki wobec tych chciwych ludzi, gdybym nie umiała wywalczyć sądownego uznania naszych praw? To jedno tylko może nam pomódz i dla tego muszę obstawać przy tem, co powiedziałam, że jestem żoną Hugona Mainwaringa, a ty jego synem i prawnym spadkobiercą!

Walter patrzał przez chwilę zdumiony i jak gdyby niezdecydowany na matkę, ale potem odrzekł szyderczo:

— Jeżeli mamie kto uwierzy, i jeżeli mamie ta komedya przyniesie jakiś zysk, wtedy zgłoszę się do mamy, bo czy ja w to wierzę, czy nie, zawsze jesteś moją matką i zobowiązaną do dawania mi tego, czego potrzebuję. Chwilowo zatrzymam moje nazwisko La Grange, pomimo, że zdaje mi się, że i ono nie jest mojem właściwem nazwiskiem!

I nie czekając odpowiedzi, zwrócił się ku drzwiom.

Matka i syn nie zobaczyli się już więcej.

Po wyjściu syna jękła pani La Grange cicho, i upadłszy na kanapę, gorącemi zalała się łzami. Była jednak zbyt dumną, aby odchodzącego zatrzymać.

Gdy rodzina zmarłego wróciła z pogrzebu, zgromadzili się wszyscy w wielkiej sali, w celu dokładniejszego zbadania pozostałości bankiera. Obydwaj kuzynowie, Ralf i Thornton, wzięli arkusz papieru i ołówki, obliczyli gorliwie sumy wartościowych papierów, znalezionych w biurku, i rozważali nad tem, co zostanie jeszcze po kupieniu dawniejszych majątków rodzinnych. Pani Mainwaring tymczasem spisywała meble, obrazy i wszystko to, co można było zużyć w starym, wiejskim zamku.

Pan Whiteney, który jako kawaler i serdeczny przyjaciel bankiera przepędził niejednę wesołą chwilę w owych pięknych salonach, w których teraz taksowano meble i przewracano wszystko bez ładu, uczuł prawdziwy wstręt dla krewnych zmarłego, postępujących z taką bezwzględnością. To też na wszelkie ich pytania odpowiadał krótko i niechętnie, i korzystając z pierwszej sposobności, wyszedł z salonu i udał się na werandę. Tutaj zastał Felicyę Carleton, która siedziała na ławce z twarzą, wyrażającą wielkie niezadowolenie.

— Nie jest to okropnem? — zaczęła natychmiast, wskazując oczami na salon. — Pan to też pewnie zauważyłeś!

Słowa jej trafiły mu zupełnie do przekonania.

— Tak, — odrzekł otwarcie, — takie przyspieszanie podziału wywiera na osobach nie mających z tem żadnej styczności, zawsze trochę nieprzyjemne wrażenie, ale ostatecznie dziwić się nie można!

— Nie — tym tam osobom nie, masz pan słuszność, — zawołała nieco pogardliwie.

— O, ja nie chciałem moją uwagą nikogo obrazić! Mówiłem tylko wogóle o naturze ludzkiej!

— W takim razie ja mam lepsze wyobrażenie o naturze ludzkiej wogóle! Byłoby to przecież strasznem, gdyby w każdym człowieku miała tkwić taka chciwość i żądza złota! Pomyśl pan tylko, — dodała z wesołym nagle uśmiechem, — gdyby tak było, to nikt nie mógłby już spokojnie umierać. Bo każdy i po śmierci pragnie być jeszcze kochanym, a nie zaraz zapomnianym. Ja przynajmniej pragnęłabym tego i z tej przyczyny postanowiłam nie zapisywać nigdy mego majątku Mainwaringom. Wtedy mogę być pewną, że mnie nigdy nie zapomną, a u tych, których niespodziewanie uszczęśliwię, zyskam sobie wieczną pamięć. Co pan mówisz na to? Nie jest to rozsądnie?

Pan Whiteney roześmiał się szczerze i z przyjemnością patrzał na śliczną twarz dziewczyny i na wesołością błyszczące jej modre oczy.

— Nie byłbym myślał, — rzekł z udaną powagą, — że pani jesteś tak złośliwą!

— Co pan mówisz, przecież złośliwą nie jestem wcale! Czy nie prawda, że Mainwaringowie są chciwi i żądni pieniędzy? O tem wie każdy oddawna! Ale że tak mało mają serca i wdzięczności — o tem przekonałam się dopiero w ostatnich dniach!

— Więc pani tak surowo sądzisz ludzi! Wydaje to się tak, jak gdybyś cały ród Mainwaringów oceniała temi kilku słowami, a przecież masz na myśli tylko tych kilku jego przedstawicieli?

— Ale gdzież tam, mówię właśnie o wszystkich Mainwaringach, — zawołała śmiejąc się. — Miłość Ralfa dla pieniędzy, to już prawie choroba. Od wielu lat już, od czasu kiedy ojciec Hugona Mainwaringa wydziedziczył swego starszego syna, pokutuje w głowie jego myśl nabycia starych majątków rodzinnych i to za pomocą pieniędzy Hugona Mainwaringa. Imię Hugona, jakie dał swemu synowi, było pierwszym krokiem, jaki zrobił na drodze do osiągnienia swego celu!

— Hm, tak, rozumiem. Ale proszę pani — wspomniałaś właśnie o starszym bracie Hugona Mainwaringa. Już podczas przesłuchiwania świadków wspomniano jakiegoś brata, ale ja uważałem to za omyłkę. Czy zmarły Hugon posiadał rzeczywiście brata?

— Tak jest, i to starszego. Ten nie przywiązywał pewnie tyle wagi do złota, jak inni, bo poświęcił majątek dla miłości! Zupełnie jak w powieści! Obydwaj bracia kochali jedną kobietę, lecz ojciec nie pozwalał żadnemu z nich żenić się z nią, i dał im do wyboru, albo miłość, albo majątek! Hugon wybrał majątek, brat jego starszy, Herold, pozostał wiernym wybranej swego serca. Wtedy wydziedziczył go ojciec. Dziwi mnie to, że pan o tem wszystkiem nic nie słyszałeś, i że Hugon, z którym pana tak szczera łączyła przyjaźń, nigdy panu o swoim bracie nie opowiadał.

— I mnie się to teraz dziwnem wydaje! Co się stało z tym bratem?

— Wyjechał do Afryki, aby zebrać tam majątek, zginął na morzu. Podczas strasznej burzy rozbił się okręt którym jechał, i wszyscy utonęli.

— A co się stało z jego rodziną?

— Dzieci nie miał, o żonie zaś wszelkie zaginęły wieści. Nie byłabym nigdy myślała, że w prozaicznej familii Mainwaringów odegra się taki poważny dramat. Skończył się wprawdzie bardzo tragicznie, ale pomimo to podobał mi się, a bohatera Herolda podziwiałam zawsze szczerze. Wiesz pan, gdybym kiedykolwiek spotkała takiego mężczyznę, to zdaje mi się, że — że mogłoby mi grozić — niebezpieczeństwo......

— Jakie?

— Zakochania się w nim!

Pan Whiteney roześmiał się.

— Myślałem, — rzekł — że zanosi się tutaj na nowy dramat, a raczej na.......

— Na komedyą, — przerwała żywo, — i masz pan słuszność, bo małżeństwo Hugona i Edyty, to prawdziwa komedya! Byli oni już w kołyskach zaręczonymi! Ralf wszystko sam ułożył! — Edyta jest niezmiernie bogatą dziewczyną! Dziękuję za taką miłość! Nie, gdybym ja się kiedy miała zakochać, to wszystko musiałoby być zajmującem, poetycznem, interesującem — on i ja — musielibyśmy się sami poznać, pokochać — musiałyby być zawikłania, intrygi, zawody, zniszczone nadzieje, a w końcu szczęście bez granic!

I Felicya sama rozśmiała się głośno.

Pan Whiteney patrzał z niekłamanym zachwytem na tę śliczną ożywioną twarzyczkę dziewczęcia i dziwił się w duszy, że dotąd tak mało na nią zwracał uwagi. A gdy kilka minut później idąc na obiad ujrzał w lustrze na kurytarzu swoją postać, dosyć okrągłą i twarz, dosyć już zwiędłą, wtedy uczuł żal głęboki, na myśl, że jest już niemłodym i nie bardzo przystojnym człowiekiem.

Przy stole siedział obok Felicyi, naprzeciwko zaś siedzieli Hugon i Harry Skott, bardzo żywą zajęci rozmową. Harry ubrany z wyszukaną wytwornością, odbijał od swego sąsiada nader korzystnie tak pod względem piękności jak i elegancyi, a pan Whiteney wpatrywał się w niego, nie mogąc sobie w żaden sposób przypomnieć, do kogo on był podobnym. Zdawało mu się, że raz w życiu widział już ten sam wyraz oczu i ten sam uśmiech, lecz kiedy, gdzie i u kogo — nad tem daremnie łamał sobie głowę.

— Panie Whiteney, — zawołała nagle Felicya, — nie uważasz pan, że pan Harry Skott jest czasem dziwnie podobny do Hugona Mainwaringa?

Adwokat zdumiał.

— Nie uważam tego, — odrzekł. — Obie te twarze zupełnie są odmienne i........

Ale zaczął się jednak jeszcze uważniej przyglądać sekretarzowi bankiera i po chwili szepnął nieomal przerażony.

— Masz pani słuszność. W rysach twarzy nie ma najmniejszego podobieństwa, lecz wyraz ten sam! Oczywiście — to oczy i uśmiech Hugona Mainwaringa! Nie wiem doprawdy, co myśleć o tym sekretarzu! Czy możliwe, aby podobieństwo jego do Hugona wypływało z ich długoletniego przestawania z sobą?

A gdy po obiedzie, myśląc nieustannie o tem odkryciu, wychodziły z sali jadalnej, uczuł, że ktoś dotyka lekko jego ramienia i usłyszał też za sobą cichy szept detektiwa Merricka:

— Jeżeli pan masz czas, przyjdź na chwilę do parku!

Rozmaite zapatrywania.

Adwokat niezmiernie zaciekawiony, udał się natychmiast do parku i zastał zaraz przy bramie detektiwa, palącego spokojnie cygaro.

— Ah, jesteś pan! — zawołał Merrik. — Masz pan trochę czasu dla mnie?

— Ile pan tylko żądasz! Jestem szczęśliwy, że się chociaż na chwilę pozbędę tego nudnego towarzystwa w salonie!

— Doprawdy? — odrzekł Merrick z złośliwym uśmiechem. — Jak się to jednak mylić można! Nie byłbym przypuszczał, że panu tak pilno pozbywać się towarzystwa panny Carleton, i robiłem sobie już wyrzuty, że prosiłem pana tu do parku!

— Ah, nie pleć pan głupstwa, — mruknął adwokat niechętnie, podczas kiedy twarz jego poczerwieniała lekko. — Gdybyś był słyszał rozmowy, jakie przez cały dzień prowadzić musiałem, to byłbyś tak samo jak i ja szczęśliwym gdybyś nareszcie mógł pomówić kilka słów z jakim rozsądnym człowiekiem!

— No, jeżeli o to chodzi, to może zadowolnię pana! Muszę jednak pomówić z panem bez świadków, tak, aby nas nikt podsłuchiwać nie mógł, i dla tego proszę iść ze mną do mieszkania stangreta, tam nie potrzebujemy się niczego obawiać — bo o ile wiem, to stangreta obecnie wcale w domu niema.

— Dobrze, dobrze! Zgadzam się chętnie na wszelkie miejsca, byleby mnie pan Mainwaring zaraz nie wyśledził. Ten człowiek zabije mnie. Strach o uznanie praw jego co do spadku po bankierze pozbawia go poprostu rozumu. Zamierza on poruszyć niebo i ziemię, byleby dojść swoich praw!

— Czy pan przewidujesz jakie trudności pod tym względem dla niego?

— Tak, lecz tylko z strony pani La Grange. Niebezpieczną nie może nam się stać, jeżeli udowodnimy że testament został w celu oszukańśtwa zniszczonym przed śmiercią testatora. Chodzi wyłącznie o to tylko, i zdaje mi się, że dowód ten mamy. Zresztą, panie Merrick, — zawołał nagle adwokat, uderzając się w czoło, — że też o tem wcześniej nie myślałem... trzeba zapuścić sieci w jezioro! Musimy znaleść przecież to, co Brown w wodę wrzucił! Kto wie, czego się tam dowiemy!

— Hm, hm — tak, — szepnął Merrik, — myśl wcale nie zła!

— Naturalnie, mówię panu, że i ja byłbym dobrym detektiwem!

— Nie wątpię o tem ani na chwilę, — odrzekł Merrick z najpoważniejszą w świecie miną.

Ostatnie słowa wymówił już w pokoju stangreta. Tak on jak i Whiteley usiedli przy stole, zapalili cygara i milczeli, — żaden z nich nie chciał rozpocząć rozmowy.

Pierwszy Merrick przerwał milczenie. Wpatrując się z pozorną uwagą w błękitne kółka swego cygara, rzekł dosyć obojętnie.

— No, i cóż masz mi pan do powiedzenia?

— Właśnie o to samo chciałem pana zapytać, — brzmiała odpowiedź adwokata.

— O, na mnie czas jeszcze! Pragnąłbym w celu wzajemnego porozumienia się poznać najpierw zapatrywania pana na całą tę sprawę — wszakże patrzysz na wszystko nietylko okiem prawnika, ale jak sam twierdzisz, również i okiem detektiwa.

Adwokatowi zdawało się przez chwilę, że słowa te zawierały lekką złośliwość, lecz uspokojony niewinnym wyrazem twarzy Merricka, odrzekł:

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRACA
Tygodnik illustrowany

Z bieżącej chwili.

Na dalekiej północy.

Wypadki ostatnich czasów w Królestwie Polskiem pognały mnóstwo rodaków na daleką północ, nad morze irkuckiej, na Syberyi.

A więc jeszcze dalej będą wysyłani, do osad, które pod względem klimatycznym w gorszych jeszcze znajdują się warunkach, aniżeli Archangielsk.

50=8, od 50 do 60=2, przeszło 60=2; żonatych jest 43. Wszystkich zesłano administracyjnie.

Zesłańcy w Archangielsku zazwyczaj trzymają się razem, według znajomości. Polacy znajdują schronienie



Dom w Archangielsku, zamieszkały przez zesłańców Polaków.

Lodowate, do gubernii archangielskiej i do miasta Archangielska. Jak wielkie ilości zesłańców politycznych znajdują się w owych okolicach, dowodem fakt, że władze miejscowe skarżą się na przepełnienie i proszą, aby nadal nie nadsyłać już zesłańców do gub. archangielskiej.

Zmusiło to rząd rosyjski do wydania uchwały, że w ciągu najbliższych trzech lat zesłańcy polityczni mają być osiedlani w północnej części gub.

Obecnie w Archangielsku, według ostatnich informacyi, przebywa 123 zesłańców, z czego 59 Rosyan, 30 Polaków, 14 żydów, 10 Ukraińców, 6 Łotyszów, 2 Ormian, 1 Kirgiz i 1 nieznany.

Podług zawodów: 71 robotników, 34 włościan, 5 studentów, 1 kupiec, pozostali są zawodów t. zw. wyzwolonych.

Podług lat: od 16 do 20=16, od 20 do 30=73, od 30 do 40=22, od 40 do

przeważnie w domach należących do rodaków, którzy od dawniejszych czasów przebywają w tem mieście, lub też na stałe tam się osiedlili.



Nowa walka kulturna.

XII.

75-letni ks. prob. Edmund Byczyński przed sądem karnym w Pile.

W środę dnia 15-go z. m. stawał przed kratkami izby karnej w Pile 75-letni *ks. proboszcz Byczyński z Gromadna*, oskarżony o podburzanie do strejku szkolnego (§§ 110 i 130a kodeksu karnego). Oskarżony sędziwy kapłan miał w październiku r. z., po odczytaniu okólnika ś. p. ks. arcybiskupa Stablewskiego z ambony dawać pewne objaśnienia, w których dopatrzono się zachęty do strejku szkolnego.

Na pytanie przewodniczącego, czy oskarżony poczuwa się do winy, odpowiada ks. B.: nie! Dalej oświadcza, że urzędował zawsze pod patronami kościołów Niemcami i nigdy nie okazywał dla Niemców wrogiego usposobienia, nikt zaś nie może mu wejrzeć w serce, czyli jest przeciw lub za strejkiem szkolnym. Nie pochwalał rozporządzenia rejencyi, ale posądzenie go o wezwanie do oporu musi odeprzeć.

Przy przesłuchach jednego ze świadków dowodowych nazwał go oskarżony kandydatem do cuchthauzu, za co otrzymał od przewodniczącego upomnienie.

Jako główni świadkowie dowodowi występowali nauczyciele, którzy zeznawali, że po odczytaniu okólnika arcypasterskiego w dniu 14-go października r. z. ks. pr. B. wygłosił dłuższą przemowę do parafian, w której wzywał rodziców, aby się starali o to, aby ich dzieci otrzymywały znów naukę religii w polskim języku, bo państwo nie ma prawa uczyć prawd wiary w języku niezrozumiałym. Państwo, które to czyni, uprawia pseudokulturę. Nauczyciele przekraczają kolosalnie prawo chłosty, zachodzą przypadki, że biją dzieci kijami. Dalej oskarżony ksiądz proboszcz po każdem nabożeństwie modlił się za biedne dzieci szkolne i odprawiał za nie msze św. Po każdem nabożeństwie, po każdej mszy św. strejk wzmagał się coraz silniej.

Tak zeznawali nauczyciele, podczas gdy świadkowie dowodowi nie przypominali sobie, aby ks. prob. B. miał wzywać do strejku i oporu.

Główne obciążające zeznania poczynili:

1) *nauczyciel Kazimierz Balcerowski z Gromadna,*

2) *tegoż siostra Helena Balcerowski,*

3) *tegoż ojciec Michał Balcerowski, nauczyciel z Szczerbowa,*

4) *nauczyciel Wiktor Porankiewicz z Kościerzyny,*

5) *nauczyciel Esch z Gromadna,*

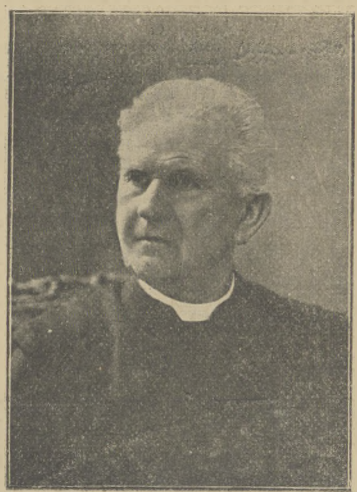
6) *inspektor powiatowy szkolny Hoppe z Wyrzyska,*

7) *Jan Sieroczyński,* (wiele razy karany),

8) *nauczyciel Leon Mikietyński z Falmierowa.*

Prokurator ze względu na to, że motywy wykroczeń oskarżonego księdza były szlachetne, wniósł tylko o 3 miesiące fartecy!

Po dłuższej naradzie przyszedł sąd do przekonania, że oskarżony wprawdzie wprost za szkólnym strejkiem nie występował, ale zachowaniem się swojem, odprawiając msze św. za dzieci szkolne oraz modlitwy na ich intencyą, objaśniając list ks. Arcypasterza, nazywając wychowanie bez religii pseudo-kulturą i t. d. oraz fotografując pobitego chłopca podtrzymywał strejk, tak iż po każdej niedzieli strejk się miał podobno wzmagać, co udowodniły „dokładne“ zapiski sprawozdań nauczycielskich, *skazał więc oskarżonego na 2 miesiące fortecy i* koszta.



Ks. prob. Edmund Byczyński z Gromadna.



Marta Kwiatkowska z Kromolic.

W toku procesu nie pozwolił przewodniczący omawiać podsądnemu zachowania się nauczycieli co do wymierzania chłosty, czem tenże chciał uzasadnić potrzebę modlitwy za biedne nasze dzieci.

Opuszczając ławę oskarżonych oświadczył sędziwy kapłan: *„Bóg najwyższy sędzia w niebie, osądzi wszystko!“*

Nadmieniamy w końcu, że sędziwy kapłan-patryota, także w pierwszej walce kulturalnej przez władze pruskie był ścigany i fantowany.

* * *

Siedemnastoletnia Marta Kwiatkowska przed sądem karnym w Krotoszynie.

Dnia 17-go kwietnia stawała przed izbą karną w Krotoszynie 17 letnia panienka Marta Kwiatkowska, córka rządcy gospodarczego, p. Jakóba Kwiatkowskiego z Kromolic. Oskarżenie zarzucało jej, iż w listopadzie r. z. rozdawała między ludzi dominialnych z Kromolic karteczki strejkowe, w których rodzice zabraniali dzieciom swoim odmawiać pacierz po niemiecku. Oskarżona przyznaje się do tego, twierdzi jednak, iż ludzie sami ją o te kartki prosili.

Przewodniczący zapytuje się oskarżonej czy nie mogła ludziom powiedzieć, aby poszli do nauczyciela i powiedzieli mu o swym zakazie.

Oskarżona: Mogłam i powiedziałam im to, lecz robotnik, który cały dzień ciężko pracować musi nie ma czasu, aby iść do nauczyciela, którego po skończonych lekcyach nigdy nie ma w domu.

Przewodniczący: Jak osk. właściwie przyszła do tego, aby rozdawać ludziom kartki?

Oskarżona: Ojciec mój zakazał memu rodzeństwu odmawiać pacierz po niemiecku. Ponieważ jednak miał w tym tygodniu dużo do czynienia poza domem, zlecił mnie tę sprawę. Nauczyciel powiedział, iż dzieci, które strejkują mają przynieść od rodziców kartki. Ponieważ nie wiedziałam jak treść tych kartek napisać zamówiłam w redakcyi „Dzien. Kuj.“ kartki strejkowe.

Sędzia p. Fischer nadmienia, iż osk. zamówiła więcej kartek.

Oskarżona: Tak jest. Brat mój opowiadał dzieciom w szkole, iż przyniesie do nauczyciela kartkę. Ci słysząc to, opowiedzieli swoim rodzicom, którzy potem do mnie po kartki przyszli.

Przewodniczący: Kto zaprowadził niemiecki pacierz w szkole Kromolickiej?

Oskarżona: O ile słyszałam, teraźniejszy nauczyciel.

Przewodniczący: Czy oskarżona

sądzi, iż nauczyciel może w szkole robić jak mu się podoba?

Oskarżona: Tak, w dzisiajszych czasach robią nauczyciele w szkole co im się podoba.

Przewodniczący: Czy oskarżona zna paragrafy?

Oskarżona: Nie.

Sędzia Fischer nadmienia, iż oskarżona trudni się polityką i czyta „Dzien. Kujawski“ i „Pracę,“ które to pisma o paragrafach dokładnie czytelników pouczają, więc musi znać paragraf 110.

Następuje przesłuchanie świadków. *Świadek radca szkolny Brückner* twierdzi, iż rozporządzenia od rejencyi co do pacierza niemieckiego w szkole Kromolickiej, niema. Zresztą nic zeznaje nic ważnego. Za to *nauczyciel Gruszczyński, Polak,* zeznaje, iż strejk w Kromolicach był tylko dziełem oskarżonej. Świadek po zawołaniu ludzi do siebie, znacznie ich uspokoił.

Na zapytanie obrońcy oskarżonej p. *mec. Langiewicza,* czy świadek żądał kartek, odpowiadał, iż żądał tylko od dzieci gospodarskich. W swych dalszych zeznaniach występował przeciw oskarżonej najzacieklej.

Prokurator w długiej mowie stara się wykazać winę oskarżonej i wnosi o 50 mrk kary.

Obrańca natomiast w swem treściwem przemówieniu wykazuje jej niewinność, wskazując na jej młody wiek. Pomimo jego dzielnej obrony skazał sąd osk. po długiej naradzie na 30 mrk. kary.

Stuletni kapłan.

Ksiądz Dziekan — tak go ogólnie tytułują, bo był przez pewien czas dziekanem dekanatu Chełmińskiego — Stanisław Machorski urodził się dnia 8-go maja w roku 1807, w Czystem, wiosce parafialnej Dekanatu Chełmińskiego. Ojciec miał tamże małe gospodarstwo, które po dziś dzień jeszcze w rękach rodziny Machorskich się znajduje. W 12-tym roku życia wziął go do siebie ks. Franciszek Machorski, stryj jego, proboszcz w Kalwie, w Sztumskim dekanacie. Po 2 latach posłał go stryj jego do Braunsbergu na gimnazyum. Po ukończeniu gimnazyum w roku 1829 został tego samego roku przyjęty do seminaryum duchownego w Pelplinie przez ks. Biskupa Chełmińskiego, Matego. Po 4 latach otrzymał wraz z dziesięciu innymi klerykami święcenia kapłańskie we Frauenburgu z rąk ks. Biskupa **Warmińskiego**, Stanisława Hatena, ponieważ właśnie w tym czasie dyecezya Chełmińska przez śmierć ks. biskupa Matego osieroconą została. Po wyświęceniu został tam wysłany jako wikary do Lisewa i tutaj przez 4 lata zastępował księdza proboszcza Dąbrowskiego, który był profesorem przy seminaryum w Pelplinie. Po rezygnacyi ks. prob. Dąbrowskiego w roku 1836 otrzymał tego samego roku od regencyi Kwidzyńskiej, jako patrona, prezentę na probostwo Lisewskie. Jako proboszcz stale mieszka dotąd w Lisewie. W życiu politycznem i ekonomicznem zawsze żywy brał udział. W roku 1863 odbyła się u niego rewizya wskutek jakiejś pogłoski, że na probostwie broń



Ks. dziekan Stanisław Machorski z Lisewa w Prusach Zachodnich.

złożono i przechowywano. Chociaż tamże nic nie znaleziono, jednak stało przez 2 tygodnie załogą 12 ułanów pruskich na jego probostwie, których musiał własnym kosztem utrzymywać. Był przez kilka lat dziekanem dekanatu Chełmińskiego i nawet powiatowym inspektorem szkół elementarnych. Obecnie cieszy się czerstwem zdrowiem, niedomaga jedynie na nogi, oczy i słuch; posiada wszakże zadziwiająco dobrą pamięć, interesuje się bardzo bieżącemi sprawami i boleje mocno nad niedolą swego prześladowanego, nieszczęśliwego narodu. Dziesięć lat temu, kiedy w roku 1897 odbywała się misya w Lisewie, wygłosił jeszcze kazanie. Od tego czasu żadnych funkcyi kościelnych nie sprawuje, duszpasterstwo i zarząd parafii zdał ks. administratorowi. Przed rokiem witał i przyjmował u siebie Najprzewielebn. ks. Arcypasterza w czasie wizytacyi kościelnej i bierzmowania w Lisewie.

Dnia 8-go z. m. parafianie uczcili swego długoletniego pasterza i sędziwego jubilata uroczystym obchodem. Przed południem odbyła się wspaniała uroczystość w kościele. O 2-giej po południu odbyła się uczta z udziałem 60 osób, podczas której wznoszono bardzo serdeczne toasty. Wieczorem odbył się pochód z pochodniami z muzyką na czele i w końcu ognie sztuczne w ogrodzie jubilata, podczas których strzelano z wieży kościelnej na cześć jubilata.

Po ks. dziekanie Machorskim najstarszymi księżmi w dyecezyi pelplińskiej są: ks. prob. Jakób Kozłowski w Radowiskach pod Golubiem, urodzony 1-go maja r. 1819; ks. radzca Emil Schmeja w Toruniu, urodzony 5-go października 1825; ks. Jan Sucharski w Borzyszkowach, liczący lat 79; ks. Oton Gronau w Koczale 76 lat i ks. prob. Kręcki w Starem Kiszewie 74 lat.

Ks. Machorski jest najstarszym księdzem nie tylko w Europie, ale może na całym świecie.

Boże Ciało.

Grodu splendory,
Jak senatory
Dostojne:
Cne luminarze
Zdobią ołtarze
Przestrojne.

Zacne cechmistrze,
Gwiazdy najczystsze,
W czół pocie,
Trwają z ochotą
Przy takiej oto
Robocie:

Gwoździe wbijają,
Belki zczepiają,
Jak trzeba,
A z duszą czystą
Ślą myśl strzelistą
Do nieba.

Już śpiew się wzbija,
Już procesyja
Zaczęta:
Bielutką dłonią
Deszcz kwiatów ronią
Dziewczęta.

Pod baldachimem,
Owiany dymem,
W przezroczy,
Starzec w infule,
Uśmiechnion czule,
W dal kroczy.

Bębny zagrzmiały,
Surmy zagrały,
Miedź pęka!
Przed Sakramentem
Lud, z sercem wzdętem,
Przyklęka.

Za nic atłasy
I altembasy
W tej dobie!
Plebs razem z pany
Stoi zrównany
Przy sobie!

Wieją sztandary,
Ambry dym szary
Ulata,
I duch skrzydlaty
Mknie poza światy
Ze świata.



Oblężenie Gdańska

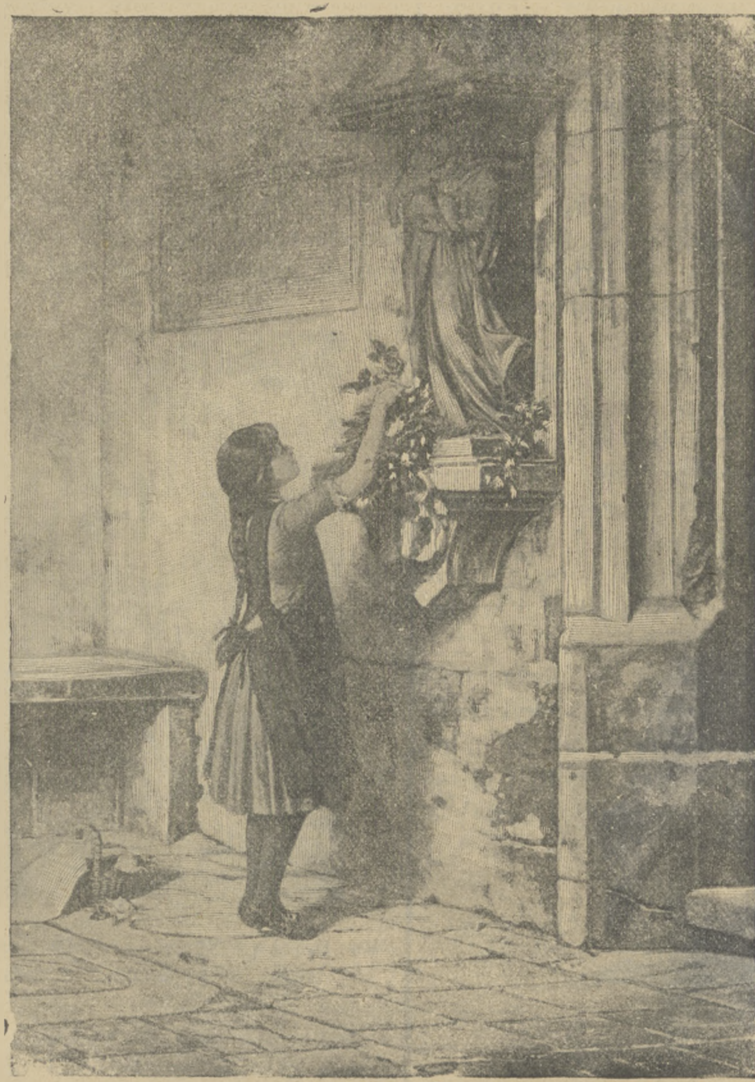
w roku 1813.

Zaglada „Wielkiej armii“ i spieszny odwrót Napoleona I. w roku 1812 w logicznem rzeczy następstwie, wywołały bezwłoczne niemal wypowiedzenie sojuszu, w którym pozostawały z Francyą mocarstwa Europy środkowej przed niefortunną wyprawą do Rosyi. Prym w odszczepieństwie tem trzymały tu, oczywiście, Prusy, dyszące zemstą za klęski na polu bitwy, za stratę zagrabionych uprzednio prowincyi polskich, za zepchnięcie do roli państwa drugorzędnego. Wkraczających za Napoleona do Prus Rosyan, naród niemiecki powitał jako zbawców ojczyzny. Czas grozy przed niezwyciężonym cesarzem Francuzów prysł, niczem bańka mydlana, na widok niedobitków z pod Berezyny; Prusak powołał do walki całą, zdolną do noszenia broni ludność męską, a wojska pruskie wraz z ruskiemi sunęły ławą za zwalczonemi przez głód i zimno szczątkami hufców francuskich.

Po stracie Księstwa Warszawskiego Murat czas jakiś trzymał się w Prusach Wschodnich, pragnąc zachować dla Napoleona tamtejsze, nader dlań ważne punkty strategiczne. Widząc, że nawale wroga nie zdoła oprzeć się, osadził w Gdańsku te siły jakie miał pod ręką, a sam pospieszył na spotkanie cesarza. Czyn ten wielu wojskowych potępiało stanowczo. Obronę Gdańska, Hamburga i Szczecina uważano za bezcelową, głównie z tej racyi, iż w twierdzach tych pozostały najlepsze stare wojska francuskie, potrzebniejsze daleko więcej do walki w polu. Sam Napoleon na sprawę tę patrzał inaczej, nie wątpił bowiem na chwilę, że nowe wojska jego odeprą zwycięsko koalicyę Niemiec i Rosyi. Rachuby zawiodły. Po tryumfach zrazu, nastąpiły klęski, a przegrana pod Lipskiem zdecydowała o wojnie. Napoleona wyparto do Francyi, fortece kapitulowały jedna za drugą; najdłużej, bo rok cały trzymał się Gdańsk, a w bohaterskim oporze, obok broniących cytadeli wojsk francuskich, odznaczyły się jak najświetniej oddziały polskie. Okoliczność ta i podniosłe dziejowego dramatu, o którym mowa, momenty, czynią z obrony Gdańska epizod, zasługujący na większe utrwalenie w pamięci, niż to widzimy dotychczas. W piśmiennictwie naszem historyę oblężenia grodu tego w r. 1813 zbywano krótkiemi słowy tylko. Tem większe u czytelnika, sądziłbym, obudzić winien zajęcie opis zapomnianego dziś faktu.

* * *

Okolony Wisłą z północy, z południa i zachodu łańcuchem wzgórz stromych, Gdańsk posiada warunki czyniące zeń twierdzę mocną i nieprzystępną, tem więcej, że częste dawniej królowej wód polskich wylewy bronią doń drogi skutecznie. To położenie miasta Napoleon oceniał trafnie po zdobyciu fortecy w r. 1807; cesarz nakreślił wówczas plany ku wzmocnieniu Gdańska szeregiem fortyfikacyi nowych. Na nieszczęście, bieg wypadków na prace około twierdzy poskąpił czasu i, w chwili osaczenia miasta przez Rosyan, w roku trzynastym, roboty, obmyślane znakomicie, nie wystąpiły jeszcze z początkowego okresu. Na domiar złego, Wisła stanęła wcześnie (1 listopada 1812), co mogło ułatwić tylko wtargnięcie do miasta.



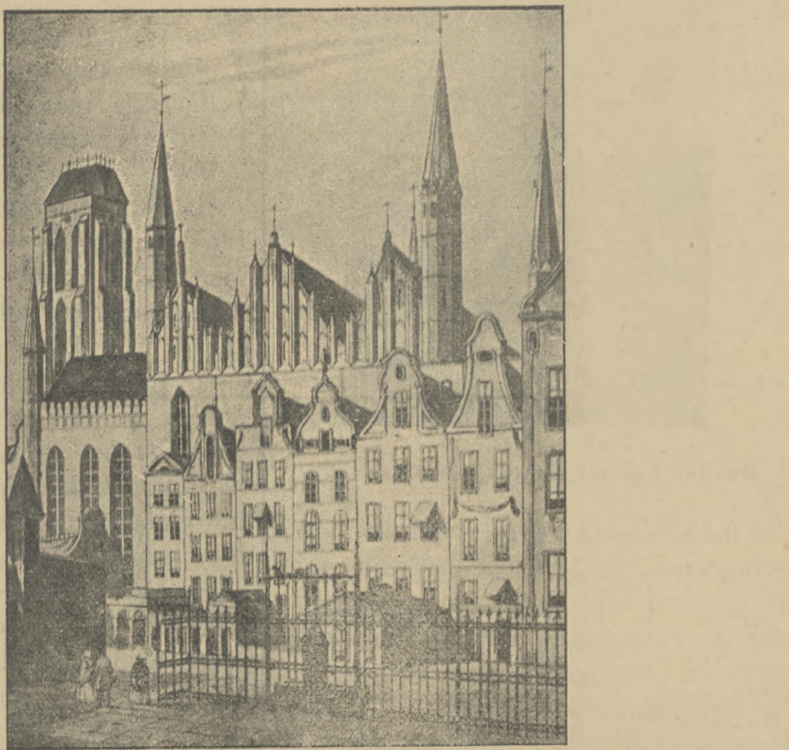
Na Boże Ciało.

35,000-czny garnizon twierdzy był dość bezładną zbieraniną żołnierzy narodowości różnych; obok występujących najliczniej Francuzów i Polaków składali się nań Włosi, Holendrzy, Bawarowie i Hiszpanie. Przeważały w nim wojska korpusu X-go — większość zbiedzona i schorowana, niedobitki z pod Moskwy, ludzie, którzy szukali w Gdańsku odpoczynku głównie. Ponad 10,000 zdolnych do boju

na razie nie posiadano więcej. Wojskiem tem dowodził gen. Rapp, rodem Alzatczyk (ur. 29 kwietnia 1772 r., zm. 8 listopada 1821 r.), wojownik dzielny, człowiek w sytuacyi oryentujący się szybko i nad podziw wytrwały, uczestnik wszystkich niemal pochodów napoleońskich.

Na wieść o zbliżaniu się nieprzyjaciela, ludzie z zapałem zabrali się do pracy. Usunięto śniegi, usypano okopy nowe, kry i góry lodowe zepchnięto znaki brak lekarstw, mięsa, legumin, napojów wyskokowych i furażu. Już po upływie trzech miesięcy ilość chorych żołnierzy doszła do 15,000.

Z lazaretów choroby nagminne powędrowały do miasta, a śmierć zbierała wśród Gdańszczan żniwo tak obfite, iż głównodowodzący zabronił pogrzebów uroczystych z biciem w dzwony, ażeby bronić umysły przed uczuciem zwątpienia. Wysłano wprawdzie do wiernego jeszcze Napoleonowi Stral-



Kościół Panny Maryi w Gdańsku.

do morza, pracowano bez wytchnienia przy 20° mrozu i więcej. Z wysiłkiem wielkim udało się wyrąbać w Wiśle kanał szeroki na 17 metrów, prowadzący do morza.

Niezwykle surowa zima przez długi czas niweczyła owoc trudów mozolnych; niekiedy starczyło nocy jednej, by kanał i rowy forteczne pokryły się tak grubą, jak wyrąbana dopiero co warstwa lodu. Podtrzymywano więc ciekłość wód nieustanną po kanale cyrkulacyą statków, lodowce po kilkakroć z rzędu druzgotano zajadle, torując sobie drogę ogniem wśród brył, mrozem ściętych. Żelazna wola ludzka osiągnęła w końcu zwycięstwo nad żywiołem opornym. Fortyfikacye niezbędne wykończono w porę. Przy ujściu Wisły i w porcie głównym (Neufahrwasser) założono obozy oszańcowane, a drogę do przedmieść zabezpieczono szeregiem redut i fortów.

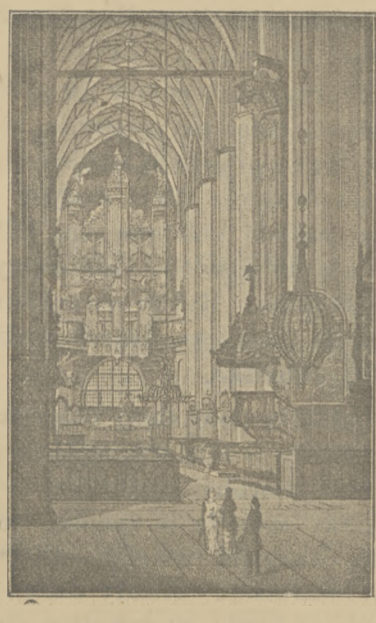
Z drugiej strony, wszystkie wysiłki te wraz z biwakowaniem na mrozie i nieustanną służbą w polu i fortecy, wpłynęły nader ujemnie na zdrowotność załogi. Dotkliwie dawał się we zundu okręt po żywność i lekarstwa, okręt ten jednak zaskoczyły burze i wyrzuciły na piaski. Wypadło w męstwie własnem czerpać otuchę i czekać wiosny, w której każdy widział ratunek pewny.

Jakoż przyszła i wiosna upragniona, a z nią niepamiętny od lat 40 wylew Wisły. Rozhukany żywioł zatopił część miasta najpiękniejszą, część większą magazynów i warsztatów; woda rozniosła okopy, powyrywała palisady, zniszczyła z wielkim mozołem usypane groble, do fortów się wdarła; Rosyanie śmiałym szturmem mogliby wówczas zdobyć twierdzę bez trudu, lecz do rozprawy orężnej na razie nie kwapili się zbytnio.

Nieprzyjaciel wolał prowadzić kampanię papierową i słał odezwy do miasta jednę po drugiej, w których nakłaniał załogę do poddania się. Odezwy te niejednokrotnie sam Rapp odczytywał przed wojskiem; wysłuchiwano ich w milczeniu i z pogardą.

Tymczasem wojska rosyjskie w ciągu dalszym stały przed cytadelą bezczynnie, z błogiej jedynie wyrywane drzemki przez liczne i pomyślne wycieczki oblężonych. Z tych wymienić wypada rekonesans Grandjean'a w dniu 29 stycznia 1813 roku i 31 tegoż miesiąca. W drugiej wycieczce odznaczył się zaszczytnie batalion Polaków pod dowództwem Szembeka, który z bagnetem w ręku uderzył na wroga, zabarykadowanego we wsi Langfuhr, wieś zdobył i ścigał Rosyan na dalekiej przestrzeni. Spotkania te przekonały raz jeszcze świat cały o niezwalczonej dzielności pułków napoleońskich. Wynik starć podziałał na oblegających tak skutecznie, że pogłoski o bliskim szturmie, o zwożeniu drabin, szykowaniu faszyn itp. ucichły na czas dłuższy. A jednak wojska załogi składały się z żołnierzy źle odzianych, odżywianych gorzej jeszcze, cierpiących na odmrożenie uszu, nosa i kończyn.

Po rozprawie ostatniej nastała cisza, trwająca 5 tygodni. W przekonaniu, że proklamacye uczyniły już swoje, że obywatele Gdańska otwarcie buntują się, a żołnierzy pożera smok niezgody, Rosyanie zdecydowali się przypuścić do Gdańska szturm stanowczy. D. 5 marca, o świcie, nieprzyjaciel uderzył siłą wielką na przednie straże, ustawione pod dowództwem Claumont'a. Atak nie powiódł się. Oddział gwardzistów francuskich, w niespełna 800 ludzi, z kolei sam przeszedł do ataku i rozproszył na cztery wiatry 4,000 kolumnę rosyjską; oddziałowi temu Rapp na polu bitwy złożył powinszowanie swe, poczem pospieszył



Wnętrze kościoła Panny Maryi w Gdańsku.

na teren inny, gdzie walka mniej korzystny przybierała obrót.

W Alt-Sottland gen. Franceschi, walcząc o każdą piędź ziemi, napierany zewsząd, cofał się zwolna; z pomocą przysłanych mu Bawarów jął sta-

wiać opór potężny. Rosyanie zdobyli jednak wieś Stolzenberg i zaszli obrońcom z boku. W stanowczej chwili Rapp wydał rozkaz 6-mu pułkowi Neapolitańczyków zdobyć panujące nad pozycyą wzgórza, co dokonano z brawurą i odparto zwycięsko powrotne ataki wroga. Tymczasem od strony wzgórz Szydlickich (Schidlitz) 4-y bataliony francuskie zaatakowały Rosyan i Prusaków od tyłu, pobiły i ścigały związkowych w wiosce samej, zdobywając dom za domem w walce mąż z mężem. Generał rosyjski dostał się tu do niewoli, nadto Prusacy stracili jedno działo.

Była godzina 3 po południu. Sprzymierzeńcy trzymali jeszcze w posiadaniu swem zdobyte rankiem pozycye: Sottland i Orunię (Ohra); niebawem i stąd wyparto ich po dokonaniu obejścia. Raz jeszcze nieprzyjaciel spróbował kontrataku, nie wytrzymał jednak ognia kartaczowego i poczęstunku bagnetem i pierzchać zaczął w nieładzie. Ale drogi ucieczki były przecięte, wróg więc sformował się i uderzył z bagnetem w ręku celem przebicia się. W walce z bliska odznaczył się adjutant-major 29-go pułku piechoty liniowej, który z garścią wojaków wtargnął w sam środek zaciekle broniących się Rosyan, siejąc dokoła mord i zniszczenie. Nadbiegłe od strony Oruni oddziały francuskie zasypały Rosyan gradem kul; widząc niemożność walczenia dalej, niedobitki tychże, razem ludzi 500, złożyły broń. Byli to żołnierze od oddziałów, co w r. 1812 dążyły ku Berezynie od strony Multan, celem przecięcia Napoleonowi odwrotu.

Nieprzyjaciel, pobity na wszystkich punktach, cofał się spiesznie, porzucając zyskane przedtem miejscowości jedne po drugiej; 2,000 Rosyan i Prusaków zasłało pobojowisko, 1,200 dostało się do niewoli. Zwycięscy stracili 600 ludzi. Był to niewątpliwie jeden z dni najpiękniejszych w dziejach obrony Gdańska.

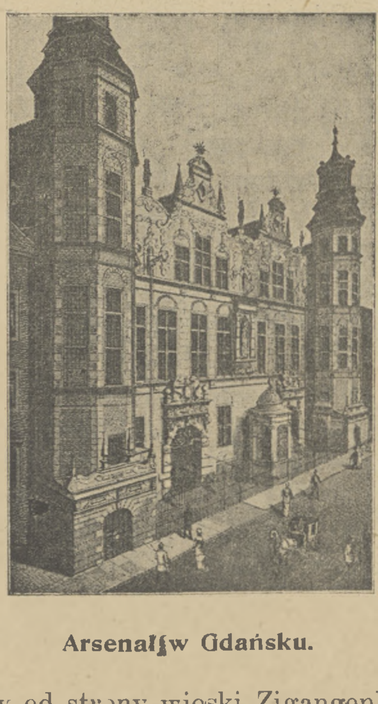
Radość z pomyślnej rozprawy orężnej mąciły srodze wzmagające się bez przerwy choroby epidemiczne; 6,000 żołnierzy opłaciło je życiem, licząc od chwili osaczenia twierdzy; 18,000 leżało w lazaretach. Każdy dzień, godzina niemal każda wyrywała z szeregów ludzi najlepszych. Niewątpliwie, odżywianie dobre chorych tych postawiłoby na nogi prędko, lecz mięso kończyło się, a braki w zaopatrzeniu fortecy były takie, iż nie posiadano nawet słomy do sienników. Za wszelką cenę należało zdobyć nieco zapasów, w przeciwnym razie zguba groziła nieuchronna.

Wielu twierdziło stanowczo, że w Quadendorf, niezbyt oddalonem od miasta, nieprzyjaciel nagromadził główne swe zapasy żywności i paszy. Z projektem wyprawy tamże Rapp nosił się oddawna, lecz wzgląd na oszczędzanie ludzi stanowił dlań przeszkodę arcypoważną. Gdy jednak zwlekanie dłuższe nie było możliwem, wydał rozkaz do rozpoczęcia akcyi zaczepnej i wyszukania magazynów wroga.



Ratusz i Długi Rynek w Gdańsku.

Po obsadzeniu wzgórz Wonnenberg, gen. Devillers wykonał atak fałszywy od strony wioski Zigangenberg, ogniem rzęsistym kazał zabawiać tam przeciwnika jak najdłużej, sam zaś przez wąwóz Malzklau dotarł do wioski Borgfeld, zmiótł zagradzający mu drogę batalion piechoty ruskiej, a z oddziałami, które zdążały na odsiecz, załatwił się tak energicznie i szybko, że wróg nie zdążył ani razu zrobić użytku z armat.



Arsenał w Gdańsku.

W rozprawie tej Polacy odznaczyli się najwięcej. Dobosz Matusiałek z pałkami jeno w ręku od bębna rzucił się na grenadyera ruskiego, zwalił go z nóg i wziął do niewoli. Odwrót związkowych zamienił się wkrótce w popłoch i panikę, gdy wieść gruchnęła, że Francuzi zagradzają już drogę do ucieczki. Rosyanie i Prusacy rzucali rannych swych i ambulanse, opuszczając szereg zajmowanych uprzednio placówek, nad rzeką Motławą (Motlau) nieprzyjaciel bronił się jeszcze czas jakiś, przepędzono go wreszcie i stamtąd.

Dzień kończył się, gdy kolumny francuskie podeszły do Quadendorf. Przed miejscowością tą Rosyanie zgromadzili jednak siły tak znaczne, że o zaatakowaniu tychże niezbyt licznym i wyczerpanym walką żołnierzem nie mogło być mowy. Wynik wycieczki, poprowadzonej tak świetnie, nie był zbyt obfitym, gdyż Rosyanie, snać w przewidywaniu napadu, prowianty odesłali w tył armii. Do twierdzy uprowadzono zaledwie jakieś 100 sztuk bydła i języka nie zasięgnięto nawet, tak głęboką nienawiść czuł zniemczony do szpiku wieśniak ku „najeźdźcom (!)“. Włościanie oświeceńsi powtarzali jedynie rozsiewane przez Rosyan pogłoski. Należało walczyć dalej w nieświadomości położenia zupełnej, po dawnemu wypadło zmniejszać racye żywności, zastępować masło żelatyną, wino i mięso — dawać chorym wyłącznie. Wszystkie jednak zabiegi te nie wiele przyniosły pożytku: epidemie szerzyły się w ciągu dalszym i ustały w maju dopiero, pociągnąwszy do grobu 6,000 mieszkańców i 12,000 żołnierzy.

K. Niedzielski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zdania i myśli

Wszelką pomyślność naszą przypisujemy zwykle staraniom i zasługom własnym, niepowodzenie — ludziom i losowi. Zdaje się jednak, że jest wprost przeciwnie: na zło sami pracujemy, a dobro z łaski Bożej przychodzi.

* * *

Praca jednorazowa, choćby najcięższa, nie jest jeszcze pracą, ale i najlżejsza codzienna prawdziwie staje się pożyteczną.

Posiedzenie Sejmu Wielkiego w Warszawie w 1791 roku.

(Do illustracyi albumowej).

Dnia 3 maja 1791 r. zebrały się w Warszawie tłumy publiczności na ulicach, wiodących do zamku. Mieszczanie zajęli plac pod zamkiem, wołając co chwila:

— Wiwat konstytucya!

Książę Józef Poniatowski stał na czele piechoty wzdłuż Krakowskiego przedmieścia, na zamkowej terasie ustawione były działa. W sali sejmowej gromadzili się posłowie, na galeryi ścisk publiczności, wśród niej najwięcej kobiet. W liczbie między posłami 1000 arbitrów. Książę Józef Poniatowski z adjutantem królewskim, generałem Gółkowskim w otoczeniu gwardyi królewskiej stali przed krzesłem marszałkowskiem, z drugiej strony koło tronu oficerowie gwardyjscy z brygadyerami Wielhorskim i Potockim. Zdziwiony tem wszystkiem Branicki, pośród swych rębaczy stracił dawną fantazyę, a gdy go któryś ze stronników zapytał:

— A co panie Ksawery, machniemy szablami?

— Wara! — odpowiedział zmieszany.



9

Wielki Kanał w Gdańsku.
(Patrz artykuł p. t.: „Oblężenie Gdanska w roku 1813").

Gdy król zasiadł na tronie, po przemowie marszałka, który mówił o niebezpieczeństwach zagranicznych Rzeczypospolitej, zabrał głos poseł małopolski, Sołtyk. Potwierdził te obawy i zwrócił się z prośbą do króla i stanów o ratunek. Po niespokojnej mowie przeciwnego posła kaliskiego, Suchorzewskiego, zabrał głos wymowny Ignacy Potocki prosząc króla, by wskazał rządowi środki ratunku. Wtedy król opowiedział o projekcie konstytucyi, a sekretarz Siarczyński odczytał 11 artykułów tego projektu.

— Zgoda, zgoda! — rozległy się natychmiast głosy po całej sali. Zaczęły się teraz rozprawy, wśród których przeciwnicy podnosili zarzut przeciwko poszczególnym punktom konstytucyi. Linowski, poseł krakowski, wypowiedział te dosadne słowa:

— Długo, aż nazbyt długo i cnotę i światło Polaka tłumił duch obcy i duch wewnętrznego możnowładztwa. Czem był przez dwa wieki Polak? Narzędziem nikczemnem, którego używano pod hasłem niezrozumianej wolności, na posługę lub dla interesu sąsiada lub też przemożnego pana. Zmamiony, służył dumie swoich zwodzicielów; spodlony, nie czuł prawa obrony, bo nie od niego, ale od możnowładzców wyższych od praw, los i bezpieczeństwo jego zawisły!

Po mowach Potockiego, posła lubelskiego i Rzewuskiego, posła podolskiego, król polecił marszałkowi zarządzić głosowanie, przyczem rozległ się w całej izbie i na galeryach przeciągły okrzyk:

— Wszyscy, wszyscy, trzymamy z marszałkiem. Niech żyje król! Niech żyje konstytucya!

Milczący dotąd Zabiełło, poseł inflancki, zawołał:

— Prosimy Cię, Miłościwy Panie, byś pierwszy wykonał konstytucyjną przysięgę!

A gdy Suchorzewski znów przecisnął się pod tron i tragicznie zawołał:

— Tylko po moim trupie przejdą posłowie, by wykonać przysięgę! — olbrzymiej siły poseł inflancki Kublicki podniósł go z ziemi do góry i uprowadził w bok.

Stanisław August widząc jednomyślność i zapał powszechny, wykonał wobec biskupa krakowskiego Turskiego przysięgę, wśród uroczystej ciszy i głębokiego wszystkich wzruszenia. Po wykonaniu przysięgi zawołał poważnie:

— *Juravi Domino, non me poenitebit! (Przysiągłem Panu i żałować tego nie będę!)*

Potem udał się przez kurytarze do kościoła św. Jana dla wykonania wspólnej przysięgi i dziękczynienia. Z uchwaleniem konstytucyi radość i zapał niesłychany zapanował w mieście.

— Wiwat król! Wiwat sejm! Wiwat konstytucya rządowa! — były powszechne okrzyki, któremi witano posłów, a marszałków sejmowych niesiono na rękach do kościoła. Wzruszony król stanął przed wielkim ołtarzem, powitany przez marszałków. Po uroczystym akcie przysięgi zaintonował biskup Górzeński *Te Deum laudamus* (Ciebie Boga chwalimy), a temu śpiewowi towarzyszył grzmot dział, ustawionych pod zamkiem.

Złote myśli.

Ludzki umysł jest jak rola, która ciągle coś rodzić musi; ale żeby wydawał użyteczne plony, potrzeba go zasiewać ziarnem nauki, a użyźniać uczciwemi zasadami i niebieską rosą religii; inaczej, rodzić on będzie tylko nieużyteczne lub szkodliwe chwasty. U głupca podobny on jest do piaszczystej wydmy, na której nic nie rośnie, a każdy wiatr inne jej kształty nadaje.

* * *

Gdy myśl szlachetna, piękna i wspaniała,
Gdy jest w cnotliwą naukę zasobną,
Słusznie przystoi, aby szatę miała
Utkaną z rytmu, a rymem ozdobną.

Z wędrówki
po Królestwie Polskiem.

8)

Powiat iłżecko-opatowski.

(Ciąg dalszy).

VI.

Z Ćmielowa, gdzie się znajduje fabryka porcelany i fajansu, założona w roku 1804 przez Jacka Małachowskiego, wróciliśmy tą samą drogą do Klimkiewiczowa, i szosą na prawo udaliśmy się do Opatowa.

Wózek wolno się toczył po świeżo usypanej szosie, która, mówiąc nawiasem, nie jest pobudowaną z myślą dogodzenia tym, co nią podróż odbywać mają. Nie jestem specyalistą w kwestyach szosowych, zresztą nie było celem podróży mej zwracać na nie uwagę. — ból jednak kości, ciągła obawa, aby nie leżeć w rowie i nie nabawić się kalectwa, nastroiły myśl moją właśnie na smutną tę nutę i zmusiły wyśpiewać bolesne jeremiady...

Szosa do Opatowa jest tak wąska, tak jajkowato usypana i po bokach ma tak głębokie rowy, że w chwili mijania się wozów, a tembardziej z ciężarem, lub ekwipaży, łatwo bardzo leżeć można w rowie.

Jechaliśmy zatem wolno, raz z tej właśnie jak wyżej wspomniałem racyi, a powtóre i dla tego, że od samego zakrętu pod Klimkiewiczowem, szosa pnie się pod górę, a góra jest kilka wiorst długa.

Obok gościńca nie ma żadnej wioski, lecz tylko całe łany pszenicy, owsa, całe niwy rżyska po sprzątniętem świeżo zbożu, — długie działy i działki kartofli, koniczyny — a pomimo ogólnej w kraju suszy, i skarg na brak urodzaju, zboże tu bardzo ładnie się prezentuje i nic dziwnego, wszak jadę przez Opatowską okolicę, gdzie z natury ziemia bogata i urodzajna, a szosa właśnie przecina folwarki racyonalnie i starannie uprawiane, i podniesione do możliwej kultury.

Pola, — gdzie okiem sięgniesz — pola; tylko po lewej stronie, zdala od głównego traktu, pod górą jak oaza, rozsiadły się zabudowania dworskie i dwór, które formalnie toną w gęstwinie czerniejącej kępy lasu i parku czy ogrodu; jest to folwark należący do dóbr Brzostowskich.

Koniki, które ciągną niezgrabny nasz ekwipaż, dobywają sił ostatnich, biegu jednak przyspieszyć nie mogą, bo wciąż pnąć się muszą pod górę. I znowu po paru wiorstach i po tej samej lewej stronie, czerwienią się dachy zabudowań dworskich, także przysłonięte kępami różnorodnych krzewów. Jest to wieś i folwark Miłków.

O ileż te łany urodzajne, ten gościniec i cała panorama mogłaby być bardziej uroczą i bawić oko podróżnika, gdyby ci, od których to zależy, kazali zadrzewić całą długość szosy. Nie umiem wytłomaczyć sobie, czy to jest lekceważenie, czy niechęć, czy przysłowiowa nasza niezaradność, ale w całym kraju mało zwraca się uwagi na obsadzenie gościńców; — nie staramy się pod tym względem naśladować zagranicy!...

Po przeszło godzinnej podróży wydostaliśmy się na sam szczyt góry, i jednocześnie panorama zupełnie się zmieniła, bo choć i tu te same otaczały mnie łany, urodzajne gleby, choć okolicy nie urozmaicały lasy ni żadne zarośla, perspektywa jednak odkrywała się daleka, sięgając mil kilka w około.

Z prawej strony — za górami, pagórkami, bo cała ta okolica falowaty ma wygląd, rysuje się na horyzoncie sięgając szczytami niebiosów, długi łańcuch gór Świętokrzyskich, a na jednym z najwyższych, tonąc w przyćmionych obłokach, sterczy klasztor pobenedyktyński.

Widok tych gór i klasztoru prowadzi mnie do samego Opatowa, a nawet i dalej — raz tylko więcej, to znów mniej odsłaniając i ukazując cudne swe szczyty, pokryte bujnie rosnącą jodłą i bukiem; odległość od gór jest kilkomilowa.

Z drugiej zaś strony i z frontu panoramę urozmaica daleko gdzieś długie, poprzerywane pasmo lasów, na tle których rozrzucone rysują się szeregi chat włościańskich, to kępy drzew i krzewów, do których tulą się dworki szlacheckie, to ukryte do połowy, a często sterczące wiatraki, — jak błędni olbrzymi rycerze, stoją na straży, na krańcach horyzontu; potworne te widma wymachują wielkiemi i strasznemi swemi łapami, a moc jest tu ich wielka. Wśród całego tego otoczenia, tu i tam, błyszczą skromne wieżyczki wiejskich kościółków.

Koniki parskają i rwą się teraz do biegu, bo wyjechaliśmy na równą płaszczyznę, furman jednak ściąga lejce, pragniemy bowiem jechać wolno, nasycić wzrok i słuch i jak najdłużej zostać w tem rozkosznem otoczeniu natury i ludzi, którzy tu teraz na łanach obsianych pszenicą ochoczo i z piosnką na ustach pracują.

Objaśnia nas furman, że pola te należą do folwarku Jacentów, który jest cząstką dóbr ks. Lubeckich, a wydzierżawiony p. Olszewskiemu, znanemu tu w okolicy, jako jednemu z najenergiczniejszych i najzdolniejszych agronomów. Za folwarkiem odsłaniają się wierzchołki wierzyczek kościoła w Ruszkowie.

Była godzina szósta nad wieczorem, robota w polu idzie w największym ruchu. Zaprzężona w rącze i dobrze utrzymane konie żniwiarka, wciąż wymachiwała bezustannie i szybko długiemi swemi łapami, co chwila zrzucając grube garście zboża na ściernie; jednocześnie rozrzuceni po polu robotnicy zbierali garście, układali na powrósła, wiązali i stawiali już gotowe do zabrania snopy. Między snopami uwijały się czterokonne drabiniaste wozy, na które zręcznie parobczaki rzucali snopy, bawiąc się jak malcy piłką.

Dalej, jak stado pstrych dzikich gęsi, rozrzuciło się po polu kilkadziesiąt kobiet; różnobarwnem ubraniem robiły wrażenie, że niwa zabarwiła się cudnem kwieciem. Cała ta gromada szybko się zwijała, zbierając garście zboża, a od gromady tej dziarskiej i wesołej szedł do mnie i rozbrzmiewał daleko hen po polach, dźwięczny, wesoły śpiew, a za każdą prześpiewaną zwrotką, młode krasawice, wykrzykiwały śpiewnie:

„Oj dana! oj dana!...“



Fabryka porcelany i fajansu w Ćmielowie.

Dziewczęta w lekkich, kretonowych, różnokolorowych spódniczkach, przepasane także kolorowym fartuchem; spódniczki, podkasane prawie pod same kolana, aby w pracy nie przeszkadzały, odsłaniały białe koszule, które jednocześnie okrywały ich plecy i piersi, a sznury różnokolorowych paciorków, korali i bursztynu, suto rozwieszone na szyi, i małe, lekkie, wzorzyste chusteczki, okrywając głowy, dopełniały stroju; — nogi po większej części nie obute.

Lica dziewcząt wesołe, ożywione, a choć spalone słońcem, sympatyczne; ciało jędrne, z okrągłemi wydatnemi kształtami, ruchy zręczne i zwinne, a



Żniwiarze w Opatowskiem.

cała gromada, nadzwyczaj malowniczy przedstawia obrazek rodzajowy, który dopraszał się, aby go umieścić na płótnie.

Parobcy nie ustępują dziewczętom w pracy, ochocie, śmiechu i żartach; przyodziani w białe, wypuszczone na wierzch koszule, spięte pod brodą błyszczącą spinką, lub związane kolorową wstążką, w pasie zaś, ściągnięte rzemiennym pasem, na nogach długie buty, a na głowie kapelusze słomkowe lub granatowe czapki.

Piosnki odbijały się od gór i lasów, i pobudzały do śpiewu rozrzucone po małych pustkach większe i mniejsze gromadki żniwiarzy, pracujących na niwkach włościańskich.

Tak tu było wesoło, gwarno, ochoczo, takie wrzało tu życie przy ciężkiej mozolnej pracy, wśród tropikalnego upału, że doprawdy, nie chciało mi się jechać; byłbym związał się z tą gromadą, i razem z nią pracował, cieszył się, śmiał i śpiewał...

Słońce jednak chyliło się ku zachodowi, i przypomniało nam, że czas jechać dalej, aby na noc stanąć w Opatowie.

Władysław E. Zapałowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Prostak wiejski.

Nie wiem, gdzie tam lepiej komu,
Każdy panem własnej woli,
Mnie najlepiej w ojców domu.
Więc rad siedzę na swej roli!
Nic ciekawym co tam poda
Zagraniczna miastom moda:
Sieję sobie swe zagony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam szuka obyczaju,
Pędzi w świat... Otwarte wrota!
Dzięki Bogu, wiem i w kraju,
Co jest rozum ,grzeczność, cnota.
Wolę ja w staroświecczyźnie
Własnej wiernym być Ojczyźnie:
Bom z pradziadów Polak chrzcony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś przez mądre tam mozoły,
Myśli, że świat przeinaczy.
Toć i jam odbywał szkoły,
Wiem, co ta ich mądrość znaczy.
Hurt na hurt, wolę ja stare:
Ojców serce, ojców wiarę,
Żyć dla dzieci i dla żony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam ludzi durzy, mami,
I gdy jakiś zysk w tem zoczy,
Górnościami, czułościami,
Jako może mydli oczy.
U mnie, znam się na oszustach,
Prawda w sercu, prawda w ustach,
Do prostotym wzwyczajony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Niech tam sobie łakną drudzy
Chwały, sławy, i tak dalej.
Mnie, gdy w domu lubią słudzy,
Gdy mię w wiosce kmieć pochwali,
Gdy pochwalą mię sąsiedzi,
A zwłaszcza ksiądz u spowiedzi;
Tom już całkiem nacieszony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Stefan Witwicki.

Z martwych wstanie...

Legenda tatrzańska.

W noc z Wielkiej Soboty na Niedzielę Wielkanocną żaden góral nie wspina się nigdy na szczyty Tatr.

Komuż to w głowie onej nocy uroczystej, kiedy lud spieszy do kościółka wiejskiego na Rezurekcyę.

Aliści raz góral pewien zabłąkał się wśród skał podniebnych, jeszcze w Wielki Czwartek i przez trzy dni i trzy noce, naprożno szukał drogi, ślizgając się po śniegach i lodach.

W tem słyszy zdala strzały. W pierwszej chwili przeraził się hukiem głuchym wśród ciemności, otaczających go dokoła; wkrótce jednak zrozumiał, że odgłosy pochodziły od wsi, gdzie podczas Rezurekcyi strzelano z moździerzy. Kiedy go wreszcie doleciał dźwięk dzwonów z daleka, zasmucił się góral mocno. Tam, we wsi, rodzina jego śpiewa „Alleluja" i gotuje się do świąt, niespokojna z powodu zbyt długiej nieobecności ojca w domu, podczas gdy on, wycieńczony, zaczyna już wątpić o prawdopodobieństwie ocalenia i powrotu swego.

Lęk straszny przejął rozżalonego górala.

Zrazu przeklinał godzinę, w której przyszła mu myśl dzika wyruszania z domu o tej porze i wałęsania się po skałach... Potem w trwodze zamarły mu na ustach przekleństwa. Przeżegnał się, ale nie mógł odmówić modlitwy. Dziesięć razy zaczynał Ojczenasz i mylił się za każdym razem... Nie szło mu... Drżał na całem ciele z zimna, głodu, znużenia i strachu. Dokoła nie widział nic, krom białych, trupio białych całunów śniegu, zasłaniających wszystko. Zakręciło mu się w głowie. Zachwiał się, więc ręką szarpnął kawał sterczącej skały, pod którą stanął — i trzymając się jej z całej siły, mimo, że była lodem śliskim obłożona — zawisł niemal nad urwiskiem...

Oczyma trwogi śmiertelnej widział upiory straszniejsze od tych wszystkich, o których słyszał od dziecka.

To znowu zdawało mu się, że z góry i z dołu idą i lecą całe stada dzikich bestyi drapieżnych ku niemu i już, już mają rozszarpać i pożreć biednego górala.

Raz jeszcze przeżegnał się.

Próbował modlić się do św. Antoniego w tej myśli, iż ten patron oświeci go może i wskaże nieszczęśliwemu zgubioną drogę. Lecz i tym razem nie szło z modlitwą.

Góral rozpaczał...

Nagle o skały niebotyczne odbił

się znowu huk wystrzału moździerzowego, poczem dzwony zaczęły grać po górach nieskończonem echem.

Szły dźwięki od wioski, z kościelnej dzwonnicy i płynęły po lodach ku szczytom; jako struny harfy, uderzały o skały poszarpane — i grały, grały wzniosłą pieśń „Alleluja...“ Tak doleciała muzyka dzwonów do biednego górala, nad przepaścią wiszącego w rozpaczy okropnej — i echem dziwnem odbiła się o jego skałę, która w tejże chwili zadrżała.

I usłyszał góral najwyraźniej, że dźwiękom dzwonów odpowiedziała skała śpiewem. Tak, to w łonie góry, w głębi skały — głosy liczne, nawpół ludzkie, nawpół nieziemskie, śpiewają chórem pieśń „Alleluja!“...

Słucha.

Śpiew nie milknie. Góral słyszy słowa pieśni, powtarza je omdlewającym głosem.

A Tatry całe wtórują niewidzialnym śpiewakom cudną muzyką dzwonów z górskiego kościółka.

Nagle śpiew ustał.

Skała zadrżała znowu i w oczach górala otwarła się szeroko, niecąc dokoła blask wielki pośród nocy, zalegającej góry.

Olśnił go widok, jaki się przed nim roztoczył.

Ujrzał góral mnogie hufce rycerzy z husarskimi u ramion skrzydły, w zbroi błyszczącej, z szablicami w ręku, a w hełmach ogromnych na głowie. Jeden w drugiego olbrzymy. Na ich czele stał niby król, niby wódz, w zbroi, a w płaszczu szerokim i długim. Wszyscy z czcią wielką słuchali kazania — wpatrzeni, jako w tęczę, w zakonnika-kapelana, co wyglądał i jak święty i jak żołnierz. Bo też mówił z serca i do serca...

Słucha i góral kazania i takie nakoniec słyszy słowa:

„A kiedy w Polsce nastanie Wielka Noc, powoła nas do Krakowa wawelski dzwon. I społem zejdziem z gór. Górale pójdą z nami wraz. A z góralami karpackimi ruszą krakowiacy. I z równin mazurskie pójdą chłopy. Zbudzi się z nami Polska cała... I w oną Wielką Noc z martwych wstanie!“...

Ksiądz skończył.

Rycerze chórem zaśpiewali znowu „Alleluja!“

Równocześnie zabrzmiały dzwony z górskiego kościółka, a tym razem tak silnie, że aż góral oderwał oczy od śpiewających rycerzy, a spojrzał w stronę, skąd płynęły dźwięki, powtarzane przez turnie stokrotnem echem.

Blask wielki, który bił od skały otwartej, oświetlał przestrzeń daleko.

Góral z radością poznał w tej stronie swoją wioskę. Oh, teraz już zna drogę... Tak, tak, to tam zejdzie w dół na halę i już będzie jak w domu.

Odwrócił się z powrotem ku skale, lecz w tejże chwili z łoskotem zawarła się w jego oczach.

Zniknęły hufce zbrojne i ogarnęły go znowu cienie nocy. Jeszcze tylko przez chwilę z wnętrza skały płynęła pieśń zmartwychwstania, poczem zapanowała cisza.

Posnęli snać zaklęci w skale rycerze...

Cicho było jak przedtem i jak przedtem, ciemno, lecz góral już nie rozpaczał. Spokojny zsunął się powoli i ostrożnie ze skały, a odnalazłszy swą drogę, dostał się nad ranem szczęśliwie do wsi.

Opowiedział gromadzie, co widział i słyszał w noc Rezurekcyi, ale już nigdy później nie mógł odszukać wśród szczytów tatrzańskich tajemniczej skały śpiących rycerzy, od której echo co rok, w nocy z Wielkiej Soboty na Niedzielę Wielkanocną, niesie po górach polskich pieśń „Alleluja“ i uroczyste słowa prorocze:

„Z martwych wstanie!“...

Kazimierz Kalinowski.

Młodzież ma często głowy gorące, póki je grzeją gęste czupryny; ale jak wyłysieją, ochłodną.

* * *

Książki mądre drukują się dla ludzi mądrych, głupie dla głupich; dlatego tych ostatnich nieskończenie więcej wydają księgarze, aniżeli pierwszych, bo na nie większy mają pokup.

Rozum i serce.

„W sercu mojem jest kącik, podobny do wyspy, gdzie mnie ani spojrzenie, ani nienawiść, ani sława — gdzie mnie w ogóle nikt i nic dosięgnąć nie może! Do tego kącika uciekam zawsze, gdy ludzie mnie opuszczają! Jest on wtedy doliną łez — lecz i rajem zarazem!“

Tak mówi poeta Promber.

Serce człowieka, to zagadka, której rozwiązać nie można! To jest niebo lub piekło, nikt w nie zajrzeć nie może i nikt go odgadnąć nie zdoła. Niejedno serce staje z wiarą i ufnością do walki z życiem i doznawszy zawodu, cofa się przepełnione goryczą i nigdy już nie odzyskuje zaufania do ludzi. Inne bierze chętnie wszystko, co mu świat daje i zadowalnia się lada błyskotką, inne zaś bada wszystko starannie i nie pozwala się olśnić pozorną świetnością. Rozpoznaje wnet słodkie jądro w brzydkiej skorupie i bierze je śmiało. Są też jeszcze serca tak pełne dobroci, że bywają wnet poznane i wyzyskane do ostateczności.

Bądź jak bądź — porywy serca są zawsze szybkie, nagłe, często nierozważne, ale ludzie wybaczają je chętnie dla tego właśnie, że pochodzą z — serca.

Rozum natomiast, to zimny egoista, który patrzy tylko na swoją korzyść, a przeszkody, jakie mu nieraz stawia serce, potrafi zawsze obejść i uniknąć ich zręcznie. Bystrem spojrzeniem znawcy ocenia towar podług wartości i targuje się, jak wytrawny kupiec, byleby wszystko tanim kosztem dostać w swoje posiadanie.



Na pastwisku.
(Patrz artykuł p. t. „Z wędrówki po Królestwie Polskiem).

Serce rzadko kiedy idzie w parze z rozumem — drogi ich, dążenia, życzenia rozchodzą się zwykle zupełnie. Serce nie pyta o nic, rozum o wszystko, serce nie rozważa i unosi się łatwo — rozum nie uczyni nic bez namysłu, rozwagi i pozostaje zawsze chłodnym. Ale pomimo to i najchłodniejszy rozum zadaje sam sobie nieraz krwawe rany. Pragnąc wyzyskać wszystko na swoją korzyść, zagłusza głos serca, które odzywa się tem głośniej wtenczas, gdy może już zapóźno, gdy żal za utraconem szczęściem nic już ani zmienić, ani pomódz nie zdoła!

Ale serce i rozum w połączeniu — ile dobrego, wzniosłego mogą zdziałać! Co rozum w upornej powadze odrzuca, to serce w dobrem stawia świetle i ułatwia harmonią przekonań. Serce uznaje wprawdzie przewagę rozumu, lecz gdy go widzi pełnego egoizmu błądzącego po bezdrożach, staje się łagodnym, cichym pośrednikiem i pociąga go ku sobie. Serce wie, że bez rozumu nie zaszło by daleko, lecz rozum nie powinien się kierować wyłącznie sam sobą i powinien także wiedzieć, że serce koniecznie jest do uzyskania szczęścia potrzebnem!

Empa.



Co jest szczęście?

Szczęściem jest — umieć przestać na małem —
Cenić co wzniosłe i w życiu całem
Nie być nic dłużnym — i strzedz się win. —
Szczęściem się nazwać modlitwa może —
Szczęściem — kto cierpieć umie w pokorze, —
Szczęściem kto spełni szlachetny czyn.

T. Rzepecka.

Własna willa na lato.

HUMORESKA.

Postanowiliśmy stanowczo zakupić piękną *willę* tak, ażeby odtąd mieć raz na zawsze *własne pomieszkanie na lato.* Chodziło tylko o drobiazg mały: ja byłem (w metaforze) goły, jak święty turecki, a żona moja przychylała się chętnie do powiększenia tej naszej finansowej nagości. Kobiety przynoszą nam jednak czasem w posagu inne skarby nie do pogardzenia. — Skarby pomysłów.

— Słuchaj Ksawery — rzekła raz do mnie żona, znalazłam sposób, mocą którego (jako latorośl rachunkowego radcy, posługiwała się często stylem urzędowym) zdobyć możemy potrzebny na zakupno willi — kapitał.

— Ślicznie! — jakiż to?

— Musimy oszczędzać!

— Wybornie! — tylko na czem?

— Na wszystkiem! — zacznijmy od *zapałek*. Ty do palenia spotrzebujesz stanowczo za wiele!

— Hm! — odparłem — dobrze; jest wprawdzie rodzinne przysłowie: *„zapałka na dwa razy, kieliszek sznapsa na raz"* — ale niech się stanie.

By niezużywać zapałek, zapalałem papierosa od papierosa i spotrzebowa-



Wiejska dziewczyna w Opatowskiem.
(Patrz art p. t. „Z wędrówki po Król. Polskiem")

łem wskutek tego dziennie o 30 papierosów więcej, coby pochłonęło kilkuset letnią oszczędność zapałkową, nie biorąc przytem w rachubę rychłej śmierci mojej, która wskutek zatrucia nikotyną musiałaby niebawem nastąpić.

— A zatem oszczędzajmy na nafcie — zawyrokowała żona. Przez dwa wieczory zaświeciło się u nas lampę — później.

— Pierwszego wieczora idąc przez salonik dałem przy fortepianie w łeb Bachowi, który rozleciał się w kawałki (co mu się zresztą zupełnie słusznie za jego *fugi* należało), drugiego pocałowałem naszą nową służącę Jagusię w same usta; oczywiście biorąc ją po ciemku za żonę.

— Tak ci się raptem na miłość zebrało: nigdyś tego przy świetle nie robił! — usłyszałem wyrzut dość ostry.

— Duszko! Wybacz! to tak czasem na człowieka przychodzi.

Od dnia nieszczęsnego *qui pro quo* — zaświecało się u nas lampę wcześniej — o dwie godziny.

— Mam inny projekt oszczędności — rzekła żona.

— Zgoda! aprobuję go z góry. Mięso szalenie idzie w cenie — zaprowadzimy jarską kuchnię: to i taniej i zdrowiej.

Tego samego dnia wstąpiłem przed biurem po drodze do restauracyi i zamówiłem sobie ryczałtem na pięciolecie kiełbasę tak zwaną „na patyku" jako *entrée* przed jarskim obiadem. W trzy dni później zdemaskowałem Jagusię w chwili, gdy niosła pod fartuszkiem dla żony: bułkę z szynką. *Tableau!* Wzajemne wyznania. Powrót do dawnych obiadów. Słowem *status quo ante.*

Po kilku dniach mając ciągle przed oczyma słodką wizyę własnego letniego pomieszkania, sam zdobyłem się na *salto mortale* w sferę projektów.

— Aniołku! — gdyby tak jeden kapelusik mniej i o jedną, lub dwie sukienki także?

— A to znów do czego podobne? — zawołała żona. — Mam sobie pozwolić grać na nosie przez taką Trzebińską, która co chwilę szwenda się w innej sukni. Raczej umrzeć! — Zresztą: dlaczego ty właściwie co dzień pijesz piwo i grasz w karty?

— Jest racya! od jutra przestaję pić i grać w preferka. Dziś w *klubie* urządzam wielką stypę starym nawyczkom.

Wróciłem o 3-ciej rano, mocno zawiany i zły, bo wpadłem 8 razy na 9 pik z latającym *psztykiem.* Ale wszystko to jest niczem w obec znakomitego rezultatu, jaki przyniosłem z klubu.

— Czego się tłuczesz jak Marek po piekle? — spytała żona, gdym wszedł do sypialni.

— Skarbie mój — rozbudź się i posłuchaj. Odkrycie przełomowe! Pściński zwaryował.

— Co mnie to obchodzi?

— Otóż obchodzi nas i bardzo. Pściński miał *własne letnie pomieszkanie,* własną willę w Puszczykowie. W jednym pokoju sam mieszkał, część odnajmywał. Lokatorowie mu przez deszcz pouciekali, nie zapłacili twierdząc, że tak wściekła nora to *vis major* — no i chłop zwaryował, powiadam ci waryat, jest już w Owińskach.

Wiadomość ta wywarła na naszą decyzyę wpływ stanowczy. Projekt został pogrzebion. W dniu następnym

nie mówiliśmy już więcej *o własnem letniem pomieszkaniu.*

K. Z.

Sprzedaż mężów.

Niedawno temu, przy rozpatrywaniu jakiejś sprawy w Sydney w Australii, wyszło na jaw, że skarżąca swego męża, którego teraz zapozwała o pogróżki — sprzedała jakiejś kobiecie, i wystawiła zobowiązanie, że „sprzedany nie będzie nigdy dokuczał w jakikolwiek sposób kupującej, ani nie będzie ścigał jej sądownie, ani też przyłączał się do jakiejkolwiek akcyi sądowej przeciw niej wytoczonej",

Dokument opiewał dalej: „W razie złamania niniejszej umowy przezemnie, zobowięzuję się, i zobowięzuję moich spadkobierców, wykonawców mojej ostatniej woli i zarządzających mojem mieniem" do wypłacenia nabywczyni, sumy 500 funtów jako odszkodowania za możliwe straty". Pomimo, że dokument ten został spisany prawnie i podpisany przez świadków, obrońca pozwanego twierdził, że żona żałuje zawartej umowy, i dlatego przedsiębierze kroki w celu otrzymania prawnej separacyi. Żądanie powódki zostało odrzucone.

W Monachium również przed niedawnym czasem pewna kobieta sprzedała sąsiadce swego męża — przystojnego nieponia — za niewielką sumę, i zadowolona była ze sprzedaży aż do chwili, kiedy sprzedany odziedziczył znaczny majątek po dalekim krewnym. Wtedy usiłowała odzyskać swe małżeńskie prawa, ale obecna posiadaczka jej byłego męża, odparła skutecznie jej ataki, zwróciła się tedy o pomoc do prawnika dowiedziawszy się od niego, że skutkiem jakiejś nieformalności; własne jej małżeństwo było nieważne, a zatem prawa jej do męża i do jego majątku nie miały prawnej podstawy.

W Paryżu praczka sprzedała za 100 franków męża, którego lenistwo i pijaństwo wydawały się nieuleczalne. Nabyła go właścicielka sąsiedniej pralni. Ale o dziwo! pod nowemi rządami człowiek ten zmienił się zupełnie, i zrobił się tak pracowitym i sumiennym pomocnikiem swej nabywczyni, że prawa małżonka zaczęła żałować układu i rozpoczęła kroki w celu odzyskania swej własności. Ale to rozgniewało tak bardzo nabywczynię, że po przejęciu listu, pisanego przez sprzedającą do dawnego męża, wyruszyła do jej zakładu uzbrojona w gruby kij, którym tak dobrze umiała się posłużyć, że krzyki ofiary sprowadziły policyanta, i ten dopiero uspokoił wzburzone niewiasty.

W Anglii zdarzały się także podobne sprzedaże, zwłaszcza w końcu ośmnastego i na początku dziewiętnastego wieku.

W r. 1774 niejaka pani Cruttley w Leeds, poleciła obwołać w mieście, że w oznaczonym dniu, wystawi na sprzedaż swojego męża, i odda go temu, kto ofiaruje najwyższą cenę, zachwalając przytem swój towar, jako zdolnego cieślę i wiernego małżonka. Pomimo tych zachwałań małżonek musiał mieć duże wady, bo sprzedany został za marną cenę „pięciu szylingów (około 4 mrk.) i garniec wódki.

Niewiele wyższą cenę udało się otrzymać za człowieka, sprzedanego w r. 1801 przez żonę, panią Bruce, w oberży w Hampshire. Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe! Miał on na szyi założoną uzdzienicę, na której prowadziła go żona, i upewniwszy obecnych, że mąż jest wierny i pracowity i stosunkowo trzeźwy, rozpoczęła licytacyę. Licytacya poszła żwawo, i małżonek został przysądzony właścicielce mydlarskiego sklepu, za cenę jednej gwinei i kwartę wódki.

Kilka lat przedtem na rynku w Manchester, sprzedany został człowiek nazwiskiem Pria. Żona dla zachęcenia kupujących, zaczęła od wyliczenia posiadanych przez niego talentów, których skala była tak obszerna, że zaczynała się od umiejętności szycia butów, a kończyła grą na flecie.

Niezwykły ten okaz stał się przedmiotem gorącego przetargu, i został sprzedany dopiero, gdy ofiarowano za niego całą gwineę (około 20 mrk.) nową suknię, i kilka sztuk drobiu.

G.



Tizian. **Flora.**
U starożytnych Rzymian czczoną była Flora jako bogini kwiatów i kwiecia. Powyższa rycina jest reprodukcyą obrazu słynnego malarza włoskiego Tiziana (Tiziano Vecellio) ur. 1477, um. 1576.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 2-go czerwca 1260 rzeź Sandomierzan przez Tatarów. — 1642 urodzenie Jana Sobieskiego. — 1831 bitwa pod Tyszycą.

Dnia 3-go czerwca 1035 ucieczka Ryksy z Polski. — 1568 kardynał Hozyusz sprowadza Jezuitów do Warmii. — 1652 rzeź kozacka pod Batowem.

Dnia 4-go czerwca 1257 śmierć księcia Przemysława.

Dnia 5-go czerwca wcielenie księ-

stwa kijowskiego do korony. — 1694 bohaterska obrona Hodowa.

Dnia 6-go czerwca 1443 trzęsienie ziemi w Polsce. — 1794 bitwa pod Szczekocinami.

Dnia 7-go czerwca 1492 śmierć Kazimierza Jagiellończyka. — 1661 wjazd uroczysty Stefana Czarnieckiego do Krakowa.

Dnia 8-go czerwca 1612 śmierć Stanisława Karnkowskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego. — 1794 bitwa pod Chełmem.

Humor i satyra.

Magda kokietka.

Pyta Magdy stara matka:
— Cegój jęcys córko miła,
Cy cię zmora jaka dręcy,
Cy niecysta trapi siła?
Magda nic nie odpowiada,
Jeno cięgiem jęcy, kwęcy,
A cerwona ci na gębie,
Jako krasny pasek z tęcy.
Jaz się wreście zniecierpliwi
Młodej Magdy macierz stara,
W łeb skrobnęła ją kopyścią,
I krzyknęła: — gadaj zara!
Więc ci Magda duchem rzece:
Dajta pokój z tą macugą,
Jęcę sobie, bo zda mi się
Wojtek przyjdzie niezadługo.
Jak usłysy mnie jęcącą,
Zaro zechce ozenienia.
Myślac, zem jest tak bogata,
Iz choruję z przejedzenia...

* * *

Dla odmiany.

Fipcia: Czy to już nie nosisz swoich brylantów?

Mańka: Owszem, wciąż do lombardu.

* * *

Doświadczona rada.

Pani Iksowa znana z burzliwego pożycia z mężem, zapragnęła po wielu latach wojny małżeńskiej, uwiecznić swoje i męża oblicze na portrecie. Zapytuje tedy kogoś, ciętego jak brzytwa, do którego ma się zwrócić malarza.

— Hm... — (*odpowie zapytany po namyśle*) — najwłaściwiej byłoby — do batalisty.

* * *

Przy zgodzie subjekta.

— A czy ze spirytualiami pański protegowany obznajomiony?

— Ba, doskonale! Co kwartał przynajmniej przez trzy miesiące pijany.

* * *

Z erotyków.

Co ja czuję, o najdroższa
Co ja czuję... czuję!...
Zapach z kuchni... polędwica,
Już się dopiekuje.
Co doznaję... o najdroższa
Ach! co ja doznaję!
Powiedz Magdzie, niech co prędzej,
Półmisek podaje...
Krew się burzy o najdroższa,
Burzy... burzy... burzy...
Ukraj-że mi mój aniele
Kawałeczek duży...
Na twój widok, śliczna moja
Przechodzą mnie dreszcze,
Nie wytrzymam... zmiłuj że się
Ukraj-no mi jeszcze.

* * *

Na balu

— Pani jest znowu, jak zwykle, prześlicznie uczesana.

— Ach, tak panie! Głowa — to moja słaba strona.

* * *

W strachu.

Córka adwokata (*od lat kilku zaręczona*): Proszę papy czy w zaręczynach może nastąpić przedawnienie?

Logogryf.

Ułożył Czytelnik „Pracy“ Jan Wielebiński, (kand. teol. z Detroit Ameryka).

Z następujących zgłosek ułożyć 21 wyrazów, każdy ma mieć po 6 liter. Początkowe litery, czytane z góry na dół, dadzą *tytuł Matki Boskiej*.

a—a—a—ad—an—cy—da—da—da—dy—e—e—ga—gens—ho—ho—i—je—ka—ka—ka—ka—ko—kur—la—les—li—lumb—na—na—na—ne—o—o—on—op—ó—pi—pol—pre—ra—ra—re—re—ry—sem—ser—skar—strów—tot—ty—ty—ve—wa—wa—went—wo—y—ze.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Kraj w Azyi.
2. Przełożony zakładu.
3. Część całości.
4. Miasto w Indyach.
5. Nimfa wolna.
6. Nazwa mszy św.
7. Częsć roku kościelnego.
8. Kraj w Ameryce.
9. Dział nauk.
10. Gatunek kwiatów.
11. Miasto w Księstwie Pozn.
12. Miasto we Włoszech.
13. Miasteczko w północnej Francyi.
14. Stepy w Ameryce.
15. Inaczej mowa
16. Malarz polski.
17. Kaznodzieja polski.
18. Najsłynniejszy żeglarz.
19. Utwór literatury greckiej.
20. Filozof grecki.
21. Imię Boga w Starym Testamencie.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 8-go czerwca włącznie.

Rozwiązanie logogryfu z nr. 19-go:

1. **F**aryzeusz
2. **O**wo**c**
3. **R**usin**i**
4. **M**ieczysła**w**
5. **A**rn**o**
6. **N**ige**r**
7. **O**se**t**
8. **W**apn**o**
9. **I**dz**i**
10. **C**sa**p**
11. **Z**amojsk**i**

Formanowicz i Piotrowicz.

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania*: pp. Janek z pod Góry Przemysława, M. Malinski, Marya Bajerlein, Bolesława Marcinkowska, Galińska, L. Ludkowski, Bazyli Mikołajewski, Helena Zydorczak; *z prowincyi*: pp. W. Piotrowicz i Kazimira Krause z Gniezna, A. Kozłowska z Stęszewa, St. Łukowski z Miejskiej Górki, N. Matuszewski z Wilatowa, S. Rychlicki z Krotoszyna, W. Prusinkiewicz i M. Robakowska z Ostrowa, Jan Szymański (syn) z Ostrzeszowa, H. Dobieliński z Rawicza, W. Smorowski z Żnina, F. Chytry z Kobylina, T. Zimoch (syn) z Kępna, C. Jankowska z Obornik, H. Kaźmierska z Śmigla, L. Szymański z Gostynia, H. Werda z Wągrówca, J. Gawrych z Młynkowa, T. Tybiszewski z Psarskiego, Józefa Szulz z Dobrej, Z. Jaworska z W. Sławska, A. J. Gawrych z Kieszkowa, Jan Mróz z Wielowsi, Fr. Nawrocka z Żabiczyna, J. Moczyński z Gręzin, M. Koszutska z Kluczewa, Józefa Kolańczyk z Kowalewa; *z Prus Zachodnich*: pan H. Kruczkowski z Drzycimia; *z Górnego Śląska*: pp. A. Czwołek z Lipin, J. Knopp z Żabrza, F. Oleszko z Kunar, H. Oślizło z Szopienic, A. Gross z Łabęd, Albina Badura z Roździenia, W. Białas z Wieszowy; *z Galicyi*: p. J. Zięborak z Biały; *z obczyzny*: pp. S. Wegner i Skrzydlewski z Berlina, L. Mąkowski z Witten, B. Przybylski z Kreuznach, J. Springer z Laar, I. Niemyt z Hochemmerich.

Nagrodę otrzymali pp. Czesława Jankowska z Obornik, A. Gross z Łabęd (Górny Śląsk) i Skrzydlewski z Berlina.

27)

GADY.

POWIEŚĆ Z XIV WIEKU

(Ciąg dalszy)

Pan miecznik z palicą w ręku nasamprzód do wrót się zbliżył i, czy zamknięte, spróbował, a potem obszedł dom dookoła, psy czujne pogładził, które zaskomliły wesoło, zbliżył się do murowanej ściany pięterka, gdzie komnatka Helżbietki była i głowę zadarł do góry.

Okienko otwarte, wiatr w niem lekką zasłonkę porusza; księżyc pełną falą do wnętrza izdebki wpływał, ale światła w niej nie było.

To dziwne, że tak wcześnie przygasiła kaganek. Zwykle dwór cały śpi, a ona czuwa, wychylona przez okno na księżyc i gwiazdy patrzy, libo słucha ulubionych słowików zawodzeń. Nie dziwował się tej pasyi pan miecznik, wżdy i on młody był niegdyś i śnił o niebieskich migdałach, a cóż ona, ta jego dziewka umiłowana, która się dopiero rozwija, jak kwiat, pod wpływem pożądań nieznanych, nieokreślonych jeszcze marzeń i snów.

Pochylił czoło na piersi i zadumał się.

Nigdy jeszcze Helżbietki nie widział tak rozgorączkowanej jak dziś, wpłynęła-li na nią parada pochodu królewskiego, uroczysty wygląd stolicy, tłum barwny, który kotłował się przed nią i za nią libo jaka rzecz inna a nieznana mu cale?... Zauważyła to i mać rodzona i ochmistrzyni, babiniec pilnująca i Warsz nawet. Ochmistrzyni powidełek radziła zjeść, mać gorczycę do stopek przytknąć. Warsz kozłowego łoju w dołku pod piersiami położyć, ale Helżbietka oparła się medykamentom tym wszystkim, i śmiała się z Warsza i ochmistrzyni, a do piersi macierzy się tuliła, jakby pociechy jakiejś, jakiegoś uspokojenia od niej czekając. Serce biło mocno, główka pałała, nawiedzało ją omdlenie dziwne i rzewność, rumieńce, jako róże pod blask miesięczny rozkwitały. Skończyło się więc tylko na tem, że ociec i matka między sobą spojrzenie zamienili bez trwogi już a niespokojności żadnej, jeno pan miecznik wyszeptał później parę imion rycerskich na ucho małżonce, imion tych kawalerów, którzy u miecznikostwa bywali i radzi byli widziani.

— Wola się Boża odzywa — szeptał pan Leszczyc...

A dom obchodząc i zbliżając się do ściany pięterka Helżbietki — mruczał cicho:

— To ci dziś na księżyc się wypatrzy a cały kaganek wypali.

Tymczasem kaganek nie płonął, miesiąc, nie adorowany, spokojnie przez niebo płynął, żaden szmer, szelest żaden nie mówił, że czuwa, że nie śpi...

— Zmogła się marzeniami córuś moja i usnęła — rzekł tedy do siebie.

Zbliżył się do muru, który od strony zewnętrznej stromy był i wysoki, lecz poszczerbioną miał szkarpę, oną słabiznę zauważoną przez pazika, a panu miecznikowi nieznaną wcale, skąd lepiej było widać okno Helżbietki, — raz jeszcze podniósł głowę do góry, a nie widząc nic, jeno zasłonę z wiatrem się bujającą, uspokoił się, bo nie masz medyka nad sen, na przypadłości wszelkie, a lepiej, gdy noc prześpi, niż przemarzy, z dniem zaś zawżdy uspokojenie i myśli stateczniejsze przychodzą. Raz jeszcze obszedł dwór, straży dał polecenie, by czujną była, lecz nie tarabaniła w deski wedle zwyczaju, bo panienka niezdrowa jest, niech więc ma sen nieprzerwany; — na miesiąc spojrzał, przysłuchał się trochę przedziwnym klaskaniom słowika — „to ci muzyka!" szepnął i do alkowy na sen doranny się udał.

Straż, obchodząca obejście dworskie i co godzina w deski bijąca, nie pozwala onym muzykom się rozegrać i pełnymi rozdzwonić się dźwiękami. Teraz, mając tylko przykaz czuwania, lecz zwolniona od uderzeń w drewna suche, w cieniu lip, od dworu w oddaleniu przysiadła sobie i cicho rozmowę wiodąc a ziewając, pospała się — bo jakże inaczej?... Teraz ci dopiero słowiki gwar podniosły, a ćwierkać zaczęły, a gwizdać a zawodzić; nie było krzewu, w którymby on pieśniarz się nie ukrył, nie było zda się, gałązki żadnej, na którejby nie przysiadł i, abo się do chóru przyłączył, abo gwizdaniem pierwszem a ćwierkaniem krótkiem i klaśnięciem, przycichłych na chwilę grajków do nowej gędźby zachęcał. I dzwoniła cała górka wawelska oną pieśnią niezrównaną, że może i stary król ze snu się rozbudziwszy, ucha nadstawił, pomarzył chwilę, młodzieńczych lat wezwał wspomnienia, westchnął i usnął, by folgę dać marom a rojeniom piękniejszym, snem ciało a duszę pieśniami słowiczemi krzepiąc.

Miesięczna, cicha noc! zefiry się gdzieś pospały, żaden liść się nie ruszy, jeno drga błyskota blasków księżycowych na szybko płynących nurtach Wisły, jeno szmer fal słychać, cichy, melancholijny, podobny do skarg kochanka, libo do płaczu dziewczyny uwiedzionej.

Na wilgotnych nizinach równin mgły białej zaczęły się pasma rozsuwać; śnieżną ławą zalewają przestrzeń całą, obłokiem tajemniczym nurzają się w głębi niezmierzonej, topieli nieprzebytej, z której za chwilę wyjrzą śliczne piersi rusałek, ciała piękne a nagie, i napowietrzny zawiodą pląs. Toczą się białe mgły, w które dolinny wiatr dmucha i pędzi. Tworzą się kształty przedziwne widm niebywałych i mar, a taka cichość dokoła, a taki urok senny, a taki nieprzemożony czar cię porywa, że chciałbyś się cisnąć w oną topiel srebrzystą, gdzie rozkosz być musi i miłość i szczęście. To też nie umilka gwar słowików: śpiewają szczęściu świata, rozmiłowanym sercom śpiewają.

Gdzieżeś jest dziewko pana miecznika, zali cię tak silny sen zmógł, że ona noc słowicza minie bez westchnień twoich i zachwytów?...

Och, nie — nie! sen nie ima oczu Helżbietki, bo jakoż powiekom się przymknąć, gdy je wciąż łza rozchyla? Słyszy pieśni słowicze, widzi blaski miesięczne, które na ziemi u podnóża jej się ścielą; miłą gędźbą w uchu jej gra cichy szelest zasłony, czuje, jak wietrzyk swawolny o pozłociste muska jej warkocze, jako trącony włos podrażni jej skroń i czoło, jako jej do uszka coś szepnie; jest-że pociecha w tem, gdy serce strapione? gdy nie wolne lęku tajemniczego, niewytłomaczonego przestrachu?... Skąd to wszystko? skąd to wszystko, dziewczyno ty moja?

Helżbietka siedzi w kątku na skrzyni malowanej, obie nogi przed się wyciągnęła, załamała ręce stroskane i kołycha się, jakby nią płacz chwiał a ból. Przed oczyma, które wciąż łzami napływają, umiłowanego młodzieńca postać, jak żywo stoi. Raz ją podczas wróżb widziała, jeno wtedy duchem był a cieniem, dzisiaj ujrzała wśród dnia białego; podszedł, przemówił, do serca czar rzucił — i tłum go porwał. Daremno zwracała wzrok za siebie: widziała twarze wszystkie, lecz nie było umiłowanego jej. Uczuła zawrót głowy, omdlenie serca, aż ją Warsz na ręce wziąć musiał i z tłumu wynieść. Ujrzyli go znów kiedy? nie ostatnież po wiek już sierota, z bolącem tak a rozmiłowanem sercem?... A wolejby zginął świat, niżby ten sen jej zginął!... a wolejby nie otworzyła już oczu na jasność słoneczną, niżby już umiłowanego widzieć nie miała, a taki ból czuć serca, nieuśmierzony ból!... Maro, duchu, cieniu, zjaw się jeszcze raz, jakoś w onym dworze podkamienieckim się pojawił, a tak piersią, a tak ramionami przylgnę do ciebie,

maro, duchu, cieniu, że nikt już moich ust od twoich ust nie oderwie, że nikt już nie weźmie mnie od ciebie, chyba z żywotem razem, razem z żywotem!

— Czemu cię niema, Sokulo moja! czemu cię niema dziś tutaj — zawodzi Helżbietka. Możeś-by nowemi ukoiła mnie czarami, możeś-by nadziemne duchy zaklęła, by ulitowały się żalowi mojemu. Jaka-że nieszczęśliwa niewiasta ze mnie jest, po złotych snach a marzeniach wdowa żałobna!...

I płyną łzy, jak perły i chwieje się w płaczu a łkaniu nieumiarkowanem, w kątku izby, zalanej blaskami miesięcznymi, rozdzwonionej pieśniami słowiczemi, siedząca.

Nagle do uszu jej doleciał cichy brzęk strun.

Stłumiła łkanie, łzy płynąć przestały... Podniosła oczy — i patrzy, podniosła głowę — i słucha.

Cicho, sennie, zaczarowanej harfy jakiejś struny dzwonią. Śpiewają-li tak słowiki, czy jej się roi, marzy, śni?... Nie! — odróżnia klaskania i gwizdy ptaszęce od tej rozwianej muzyki strun. Nagle usłyszała głos i śpiew, możnaby rzec: szept śpiewu:

Gaju zielony, kwiatki na łące...

Skoczyła — lecz się wstrzymała w połowie izby i słucha.

Nuta nieznana, niezmana pieśń, lecz głos znajomy.

Słowiki nie umilkły, lecz jakby podrażnione, że ktoś chce berło pieśni im wydrzeć, naraz wszystkie razem zawiodły aż zaklekotało powietrze srebrne i na chwilę zgłuszyły pieśń. Lecz wnet się wzmogła, ściszony brzęk strun ozwał się mocniej, zadzwoniły słowa wyraźniej.

— Winna jest kary... Ja — maj — zabronię
Zefirom słodkiej z włosem pieszczoty;
Różom wyostrzę kolce jak groty,
Białym lilijom przytłumię wonie.

Helżbietka skoczyła do okna i prawie cała wychyliła się przez nie. Serce jej biło, jak dzwonek na nieszpór wołający, kołowały myśli bezładnie, duszę miłośny ogarniał szał.

— Jest. — zawołał Jaśko, zewnątrz muru na głazie jakimś stojący, osłoniony cały krzewami zielonymi. Wolffram się pochylił, wcisnął się w krzak jałowcowy i krwią nabiegłemi oczyma objął Helżbietkę. Jaśko oddychał zachwytem i szczęściem, Krzyżak nieprzemożoną żądzą posiadania, a pazik, ukryty w cieniu, coraz gwałtowniej o struny potrącał i dumnej kochance groził karami różnemi. Gdy przerażony sądem i kar wymiarem, kochanek zawołał, że wyrok za srogi, że:

...za wiele cierpień, za wiele!...
Lic jej nie tknijcie, stopek nie krwawcie! —
Niech się jej życie różami ściele.
Mnie mękę i śmierć zostawcie!

na srebrne powietrze, do gwiazd czy do księżyca, obie ręce wyciągnęła Helżbietka, i na nic nie pamiętająca w głos zawołała:

— Nie — nie!...

Wtedy nie strzymał już Jaśko, lecz na mur skoczył i zanim się pazik i Wolffram opamiętali buchnął w krzewy, po drugiej już stronie muru rosnące, i w zbroi złocistej, świecąc pióropuszem hełmu o gwieździe brylantowej, piękny, rycerski w poświacie miesięcznej stanął i miłośnie ręce do Helżbietki wyciągnął. Jakiś krzyk cichy wypadł z piersi dziewczyny, jakaś przemożna siła pchała ją ku tym ramionom miłego, a Jaśko snadź widział to i moc tę zrozumiał i sam już nie pamiętający na nic zawołał:

— Pójdź! pójdź!...

I pierzchła jak ptak i jako ułuda powiała. Nie słyszał Warsz, jako przez ciemne schody zbiegła; nie zazgrzytał klucz w zamku, drzwi nie skrzypnęły: lecz otwarły się cicho choć prędko — i w nich stanęła Helżbietka. Skoczył Jaśko ku niej, a ona już się bronić nie mogła, bo nie wiedziała co jej jest i jako się to wszystko stało; a gdy ją chwycił i do bijącego serca przytulił, ogarnęła szyję jego ramionami rozmiłowanemi, usta w usta, pierś w pierś się wpiła... i zniknął cały świat, jeno czuła rozkosz i szczęście i zapomnienie bezgraniczne.

— Mój ty!

— Mojać ty!... — brzmiało w krótkich przerwach pocałunków.

— Jako cię zwać mam? — pytała.

— Jaśkiem zwij!...

— Pokłonisz-że się rodzicielom moim, a powiesz: dajcie mi ją?...

— Możeż inaczej być? możeż inaczej być? — powtórzył Jaśko.

— Jak-że cię zwą, Jasieńku, dyć muszę rodzicielom powiedzieć, że znam cię?...

— Cóż im powiesz?

— Że w Podkamieniu cień twój się mi pokazał, że później przyszedłeś już sam na wołanie serca mojego.

— A mojeż nie biło ku tobie?...

— Jużci, że tak....

— Po wiek moja!

— Po wiek mój!...

I znowu zadzwonił cichy szmer pocałunków.

Zawarczały psy, rozbudziła się straż śpiąca i brzęknęła w toporzyska. Helżbietka wymknęła się z ramion rycerza — i znikła; Jaśko przez mur skoczył, a czoło promienne, a usta rozpalone miał.

— I jakoże tam było, jak? — pytał zaciekawiony pazik.

— O, mój Orliku! — Jaśko wyszeptał.

I nic nadto powtórzyć nie mógł.

A Wolffram jak upiór wyglądał. Słyszał szepty, może pocałunki słyszał... Miał czoło blade śmiertelnie, usta skąsane do krwi.

U pana Miecznika.

Co i jak było przed dworcem pana miecznika, ile pocałunków się dało, ile westchnień posłało się ku gwiazdom złotym, o tem Wolffram się dowiedział z ust samego Jaśka, który do domu wróciwszy, ze wszystkiego przed przyjacielem się swoim zwierzył, i choć czas był po temu, by do łoża iść a sen posilny przywołać, nie kleiło się oko kasztelanica, od ściany do ściany chodził i prawił, jako Helżbietka ma rodzicom swoim powiedzieć o wróżbie podkamieńskiej wyznać wszystko i czekać już jeno przybycia Jaśkowego.

Oddany szczęściu swojemu raz wraz przed siedzącym Wolfframem przystawał i z myśli swoich się spowiadał, nie widząc ciężkiej chmury, która na czole słuchacza usiadła, ani nagłego lic blednięcia, ani tłumionego skowytu w piersi, ani błysku oczu, z których głuchy grom strzelał.

Z jakążby rozkoszą rzucił się na Jaśka, za gardło chwycił, na ziemię cisnął i posłyszał zamierający dech w jego piersi, a gdyby już oczy bielmem spojrzały, z jakążby rozkoszą nogami zimnego trupa kopał i wlókł go za sobą; ni razu jednak nie pozwolił onej złości piekielnej nad rozsadkiem zapanować, zdradzić się z uczuciami swojemi — i po chwili całkiem się przemógł i słuchał już wynurzeń Jaśka z zadziwiającym spokojem, czucia jeno swoje zdradzając jakiemś czkawkowem drganiem piersi lub silniejszem wyrzuceniem z niej powietrza. Raz jeden tylko błysk radości zapalił się w oczach krzyżaka, gdy Jaśko mu powie-

dział, iż, kim był, pannie rzec nie mógł, bo spłoszyły go kroki czyjeś i ujść musiał, — ale one pocałunki i szepty, one wyznania a gruchania miłosne, torturą mu były a męką iście piekielną.

Jaśko zda się zpomniał, że nasieniem był znienawidzonego rodu Święców; nazajutrz miał przed panem miecznikiem stanąć, a kto wie, jako będzie, gdy do nóg mu się rzuci z kajaniem się i prośby nabożnemi ... Wiedział, że miłość dokonywa cudów, że więzy silne i tamy rwie; że w łzach niewieścich jest moc, pokonywająca dumę i opór kamienny mężów. I marzył się Wolfframowi sen coraz krwawszy i rosła nienawiść i żądza coraz piekielniejsza.

Pazik już spał, z przyległej izby dochodziło księdza Johana chrapanie; stojący w kącie kaganek przygasał i nie pozwalał dostrzedz zmian na twarzy Wolfframa, a Jaśko promienne marzenia snuł, nietrwożną duszę w błękicie ich kąpiąc.

Nagle stanął przed krzyżakiem i rzekł:

— Cóż milczysz jak pień, gdy ja gorzeję?...

— Dla tego właśnie milczę — odpowiedział Wolffram.

— Zapomniałem, żeś mnich — zaśmiał się kasztelanic.

— Nie twoja to rzecz, lecz moja, pamiętać o tem.

— Jako wy możecie bez niewiast się obchodzić? — zawołał Jaśko.

— Pewniejsze zbawienie mamy, a nieba bliżsi.

— Takie, jak moje miłowanie, na potępienie nie wiedzie.

— Byłoby tak, gdyby nie twoja przysięga pomsty.

Jaśko spojrzał na Wolframa. Dziwnie jakoś te słowa z ust jego wybiegły. Podobne były do grzmotu dalekiego, do osypywania się głazów z ruin zamków zmurszałych.

— Moja przysięga? — wyszeptał.

— Nie dokonasz jej.

— Kto mi przeszkodzi?

— To miłowanie twoje.

— O, nie!....

— A ja ci powiadam, że będzie tak, jak mówię

— Nie, nie!

— Jakże przeciwko królowi wystąpisz, nie zrywając z panem miecznikiem? jakże przeciw panu miecznikowi staniesz, nie oderwawszy się od dziewki jego?

Jaśko na ławie siadł....

— Nie dziewka za tobą pójdzie, lecz ty za nią, a droga jej inna od twojej — ciągnął Wolffram.

Jaśko ciężko oddychać zaczął.

— Widziałeś — prawił Wolffram — jak to cała stolica jest za królem, jak głowy wszystkie pochylają się przed nim, serca wszystkie ku niemu się zwracają.

— Zali, jeżeli miłuje mnie, nie poświęci nic dla mnie? — szeptem, jakby mówił do siebie, zapytał kasztelanic.

— Może!... — odpowiedział Wolffram. — Ale wpierw będziesz musiał duszę jej zgwałcić.

Jaśko drgnął lekko, na krótko dech w piersi się zaparł. Czuł, że tak było, jak Wolffram mówił. Ból dotkliwy serce jego przeszył, z ust wybiegł szept czy jęk cichy:

— O, szczęście moje!...

— Szczęście! — podchwycił krzyżak. — Cóż jest zacniejszego nad szczęście?... Możesz je mieć, zależy ono tylko od ciebie, od woli twojej.

— Radę mi daj, jeżeliś mój druh — wyszeptał kasztelanic.

— Ni za się ni przed się nie patrz i — bierz je!... — rzucił Wolffram.

Jaśko się podniósł.

— I wezmę — zawołał z mocą — i uczynię tak, by być szczęśliwym!....

— Słusznie!... — odpowiedział spokojnie krzyżak. — Ale, by takim być, omijaj ojców i dziadów swoich groby; nie zazieraj do trumien ich, byś w przerażeniu i męce prochów ich nie zobaczył.

Jaśko, jak słup, na łoże się zwalił.

Nie dziwota!... Stanęła przed nim w tej chwili postać wojewody w nędzy i opuszczeniu, żądająca zemsty za ciężkie krzywdy swoje i śmierć okrutną. Któż mu pośmiertny spokój da, któż będzie wykonawcą strasznej woli jego, jeżeli go własna krew zdradzi? Jaśko czuł, że nieprzełamany mur przed nim stoi, że jeżeli będzie o szczęściu swojem pamiętał, zapomnieć musi o ojców prochach, z daleka groby ich obchodzić, by nie posłyszeć we wnętrzu ich niespokojnego klekotania szkieletów. O, Jezu! jak one męczyć się będą, jak straszliwemi myślami mogiły ich się wypełnią, gdy on tonąć będzie w rozkoszy i szczęściu. Jaka męka ich dusz w niebie, jakie szamotanie się ich pyłów w trumnicach, jaki ból, że taki twór nędzny z ich lędźw wyszedł.

Wolffram podszedł do wijącego się na łożu. Jaśko otworzył oczy, siadł i nieprzytomnie spojrzał dookoła.

— Dobrze, żeś się obudził — głosem tajemniczym szepnął krzyżak, a patrzał oczyma, jakby widmo jakie ścigał.

— Dla czegoś ty blady? — Jaśko spytał.

— Duch wojewody przez izbę przeszedł.

— I tyś go widział? — krzyknął przerażony kasztelanic, a włosy mu na głowie stanęły.

— Więc to nie było tylko moje widzenie? — zawołał Wolffram.

Jaśko teraz nie wątpił, że mara wojewody zjawiła się przed nim. Blady był, jak trup, który z katafalka się podniósł, na czole jego błąkała się myśl strasznego postanowienia. Zdawało się, że chwilę walczył z uczuciami, które się w duszy jego rodziły, usta miał bez blasku i krwi, pot zimny, kroplisty po czole spływał, oczy osnute mgłą były. Po chwili głosem cichym, bezdźwięcznym, lecz w którym była moc, wyszeptał:

— Pierwej byłem, wasz, ojcowie, niż czyj-bądź...... Śpijcie cicho w trumnicach swoich! nie zabyć mi przysięgi, nie darować mi krzywdy waszej, nie nurzać mi się w szczęściu, a was skazać na głód nienasycony i na niepokój w grobach popiołów waszych. Za żadne skarby świata, za wszystkie berła i korony nie wyrzekłbym się miłowania mojego, ale tu chodzi o spokój wasz, prochy! o cichy wasz sen mogilny — prochy! o uśmierzenie się wasze — o, prochy!.... Da li wam to ktobądź, jeżeli nie ja, wasz syn, wasz wnuk?....

— Amen! — powiedział Wolffram.

— Stało się! — rzekł Jaśko, patrząc przed siebie szeroko rozwartemi oczyma, jakby jakieś widmo widział. Po chwili zachwiał się i tłumiąc głuchy ryk w piersi na łoże się zwalił.

— Zabiłem — szepnął do siebie Wolffram.... — a gdy odżyjesz, przeklinać będziesz dzień i godzinę, w której mnie poznałeś.

(Ciąg dalszy nastąpi).